

SWIAT



DZIESIĄTKI TYSIĘCY DZIECI

Z MIAST UDAJĄ SIĘ CO ROKU LATEM NA KOLONIE I OBOZY, ABY NABRAĆ SIĘ DO NAUKI W NOWYM ROKU SZKOLNYM. RÓWNIEŻ DZIECI WIEJSKIE NIE SĄ POZBAWIONE WYPOCZYŃKU I ROZRYWKI. W OKRESIE ŻNIW I OMŁOTÓW PRZEDSZKOLA PRZEKSZTAŁCAJĄ SIĘ ZWYKLE W KOLONIE, NA KTÓRYCH PRZEBYWA CAŁA MŁODZIEŻ, CO POZWALA RODZICOM NA SPOKOJNĄ I SZYBKĄ PRACĘ W POLU. (PATRZ REPORTAŻ NA STR. 8 - 9)

Fot. W. Sławny

SWIAT

NASZA KRONIKA

ZOSTALI zmuszeni. Tak i nie inaczej powiedzieć należy o zawarciu porozumienia rozejmowego w Panmundżon. Imperialiści zostali zmuszeni do podpisania tego rozejmu. Fakt przymusu wynika z istoty aktu wojaskowo - politycznego z dnia 27 czerwca. Rozejm kończy walkę albo jeden z jej etapów. Staje się w toku wojny możliwym na skutek tego, że przewaga jednej ze stron zmusza drugą do zawarcia rozejmu.

Imperialiści rozpętali wojnę w Korei i imperialiści nie chcieli jej zakończenia. Dążyli oni do zajęcia całej Korei i do przerzucenia wojny na obszar Chin. Dla osiągnięcia tego celu użyli wszelkich rozporządzalnych środków bojowych — z lądu, morza i powietrza. Najpotężniejsze mocarstwo kapitalistyczne — Stany Zjednoczone Ameryki Północnej — było arsenałem i organizatorem tej agresji. Mimo wszystko zostali zmuszeni do zgody na rozejm: działania wojenne zostały przerwane.

W wojnie tej naród koreański odniósł imponujące zwycięstwo. Bohaterstwo tego narodu w obronie niepodległości i prawa do istnienia zanotuje historia na najpiękniejszych kartach opisujących nasze czasy. Karty te wypełnione zostały opisami pełnymi grozy. A jednak grozy nie budzą. Ponad najbardziej wstrząsającymi obrazami zniszczeń ziemi koreańskiej, zniszczeń miast i wsi, śmierci tysięcy ludzi dorosłych i dzieci — góruje wielkie bohaterstwo tego narodu, umiającego nie tylko walczyć, ale i żyć i pracować walcząc.

WIECEJ jest zwycięzców, niż żołnierzy liczy armia koreańska, czy armia chińskich ochotników. Świadomi być musimy faktu, iż imperialiści do rozejmu zostali zmuszeni nie tylko na linii frontu, ciągnącego się w poprzek koreańskiego półwyspu. To prawda, że tam na polach, wzgórzach i drogach Korei zdecydowała się porażka militarna imperialistów, że niejedyną najpyszniejszy amerykański generał, jak Mac Arthur czy Ridgway umykali stąd na drugą półkulę. Ale niczego nie odbierając z bojowej sławy żołnierzom koreańskim i ochotnikom chińskim stwierdzić trzeba, że to jeszcze nie było wszystko.

Rzecz w tym, iż imperialiści zmuszeni zostali do zawarcia rozejmu nie tylko na skutek sytuacji wojaskowej. Rozejm koreański to nie tylko klęska wojskowa imperialistycznych wojsk. To także wynik klęski politycznej imperialistów. Wojna koreańska stała się taką wojną, która toczy się nie tylko na pewnym określonym terytorium przy użyciu środków wojennego zniszczenia. Wojna koreańska toczyła się wszędzie. Wszędzie tam, gdzie żyją i pracują uczciwi ludzie, kochający życie i nienawidzący wojny. Walka tych wszystkich ludzi w świecie spowodowała ową właśnie poli-

tyczną klęskę imperialistów. To nigdzie niespisane, żadnym traktatem nie zawarte, ale istniejące przymierze narodu koreańskiego ze wszystkimi pragnącymi pokoju narodami świata zwyciężyło, okazało się siłą, której nic nie zdoła się oprzeć.

ŻOLNIERZE koreańscy, ochotnicy chińscy i naród koreański — to była pierwsza linia frontu, która nie zawiódła świata, przez trzy lata i przez trzydzieści trzy dni wytrzymując najwścieklesze ataki wroga. Świat nie zawiódł walczących. Dowodem tego jest rozejm, wywalczony, wymuszony zarówno na przedpolach Phenianu, jak i w postawie i w walce politycznej milionów ludzi na całym świecie.

Linia frontu wielkiej walki naszych czasów to nie tylko linia geograficzna. Koreańczycy mogli liczyć na naszą przyjaźń, na przyjaźń wszystkich narodów od Łaby do Oceanu Spokojnego. Ale to jeszcze nie było wszystko. Linia walki przebiega poprzez narody, znajdujące się jeszcze pod władzą imperializmu. Niejedna walka toczy się w sumieniu człowieka i tam, gdzie prawdziwe ludzkie sumienie dochodzi do głosu, sprawa amerykańskich monopolów czy „idei“ senatora Mac Carthy zostaje pogrzebana. To, co ludzkie osiąga zwycięstwo nad tym, co nieludzkie.

RZECZ w tym, iż zwycięstwo nad siłami imperializmu staje się możliwe, albowiem nasza epoka przyniosła naukę o organizowaniu się, o wspólnej walce o to, co dawniej tylko drażyło, nurtowało sumienia. Pięćdziesięciolecie narodzin partii bolszewickiej oraz z tej okazji wydany komunikat Instytutu Marksa — Engelsa — Lenina — Stalina i Wydziału Agitacji i Propagandy KC KPZR — przypominają najdumniejsze dzieje ostatniego półwiecza, dzieje powstania, rozwoju i zwycięstw partii, która, będąc partią narodu radzieckiego, stała się sumieniem ludzkości.

Siła Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego polega na tym, że wszystkim najlepszym, najszlachetniejszym dążeniom ludzkości dała siłę realizatorską, myśl przewodnią, potęgę organizacyjną, że dała ludzkości państwo radzieckie, pierwsze państwo socjalistyczne, pierwsze państwo budujące komunizm, państwo zmieniające zasadniczo i nieodwołalnie układ sił na świecie — na korzyść narodów, na korzyść człowieka, na rzecz pokoju.

Ten układ sił zmienia się w naszych oczach, świat staje się inny, lepszy, wspanialszy. W ciężkiej walce zwycięża prawda i sprawiedliwość. Komunistyczna Partia Związku Radzieckiego — to znaczy pewność, że czekają nas, całą ludzkość, nowe wspaniałe sukcesy, nowy rozwój, nowe wspaniałe życie.

JAN SZELĄG

60 ROCZNICA URODZIN MARCELEGO NOWOTKI

„Tak się chce żyć i żyć. Tworzyć, budować, dożyć radości nowego życia” — mawiał często Marcele Nowotko, który był pierwszym sekretarzem KC PPR. Nie danym mu było doczekać tej chwili. 28 listopada 1942 roku, w samym mroku okupacyjnej nocy, życie jego przerwała zbrodnia ręką prowokatora. Dziś obchodząc 60 rocznicę jego urodzin, powtórzmy słowa nekrologu, jakim żegnała go podziemna „Trybuna Wolności”: „...nie spocznijemy, póki nie doprowadzimy do zwycięstwa dzieła, dla którego żyłeś i walczyłeś”.



UMOWA HANDLOWA CHIŃSKO-BRITYJSKA



W ramach podpisanej ostatnio w Pekinie umowy, przemysł brytyjski dostarczy Chinom m. in. wyroby metalurgiczne, maszyny, sprzęt elektrotechniczny, medyczny i transportowy oraz chemikalia — za chińskie produkty spożywcze, minerały, herbatę, jedwab oraz wyroby rękodzielnicze wartości 30 milionów funtów szterlingów.

POWROT DO ZDROWIA WILHELMPIECKA



1 sierpnia powrócił do Berlina z ZSRR, po odbyciu tam kuracji i odzyskaniu zdrowia, Prezydent Niemieckiej Republiki Demokratycznej, Wilhelm Pieck.

HENRI MARTIN WOLNY



Zwolennicy pokoju i patrioci we Francji odnieśli duży sukces: dnia 2 bm. został zwolniony z więzienia niezłomny bojownik o pokój, Henri Martin.

OSTATNIE DNI

ANDRZEJ BRAUN

Korespondencja własna „Świata” z Kesonu

TAK się złożyło, że trzecią rocznicę wojny koreańskiej, bohaterskiej walki narodu koreańskiego z imperialistyczną interwencją, przeżywałem w miejscu, skąd nastąpiła agresja przeciwko pokojowej republice koreańskiej, gdzie John Foster Dulles, obecny sekretarz stanu dla spraw zagranicznych USA, dokonywał sławetnych lustracji marionetkowych oddziałów Li Syn Mana i zagrzewał je do dziarskiego ataku na północ.



„gdzie John Foster Dulles, dokonywał sławetnych lustracji marionetkowych oddziałów Li Syn Mana i zagrzewał je do dziarskiego ataku na północ...”

Miasto Keson robi na przyjeżdżającym z północnej Korei człowiekowi silne i zaskakujące wrażenie. Jest to pierwsze i jedyne z tej strony linii frontu miasto, które stoi, gdzie są domy, normalne, gęsto zabudowane ulice. Dopiero przyjechawszy tutaj, do Kesonu, po dwumiesięcznym blisko pobycie w Korei, zobaczyłem jak zbudowane są koreańskie domy, poznałem architekturę i styl budownictwa w tym kraju. Oczywiście Keson jest miastem zniszczonym, tak zniszczonym jak niejedno zrujnowane miasto w Europie ot, choćby (zachowując proporcje) Wrocław. Ale tutaj inne mamy porównania.

Od północnej strony za miastem dzwiga się potężny masyw skalisty z widocznymi z tej strony wydeptanymi ścieżkami i bunkrami z betonu. Tu znajdowały się lisymanowskie fortyfikacje, tu znajdowało się gniazdo, z którego ruszył atak na północ. W trzecią rocznicę wojny koreańskiej znaleźliśmy się w jej źródle, w jej punkcie wyjściowym.

Strona ludowa obchodziła trzecią rocznicę wybuchu wojny koreańskiej z powagą, z pełną świadomością podejmowanych przez trzy lata ofiar i wysiłków, ale bez jakichkolwiek nastrojów żałobnych. Raczej wprost przeciwnie. W Phenianie opublikowano okolicznościowe odezwy Kim Ir Sena i Peng Tehueia do narodu koreańskiego, podsumowujące zwycięstwa odniesione przez koreańską Armię Ludową i ochotników chińskich w ciągu ubiegłych trzech lat walki. W przeddzień rocznicy, wieczorem, odbył się w Kesonie wielki otwarty wiec ludności, zorganizowany przez miejski komitet Koreańskiej Partii Pracujących. Obszerne sala teatru przyozdobiona emblematami i portretami przywódców wszystkich narodów obozu pokoju, wypełniła się zielonymi mundurami żołnierzy koreańskich i drelchami ochotników chińskich, oraz białym morzem ludowych strojów kobiecych i chłopskich. Po referacie sekretarza partii przemawiał młody generał w imieniu wojska, następnie przedstawiciel ochotników chińskich i długi szereg kobiet, starszych, pomarszczonych chłopek i zupełnie młodych dziewcząt, bohaterów Koreańskiej Republiki z wielkimi gwiazdami na piersi i starych chłopów z rzadkimi bródkami, w czarnych włosianych czapeczkach (na znak, że ukończyli już lat sześćdziesiąt). Przemawiałem ja również w imieniu zagranicznych dziennikarzy przebywających

Dnia 27 lipca br. o godz. 2 w nocy podpisany został rozejm w Korei, powitany z nadzieją i radością przez wszystkie miłujące pokój narody świata. Z ogromną siłą domagały się one zakończenia wojny w Korei, ze wzmożoną czujnością śledzą obecnie urzeczywistnianie warunków rozejmu. Ten reportaż — fragment większej całości — mówi o ostatnich dniach wojny, o walce narodu, który potrafił pokrzyżować zbrodnicze plany imperialistycznych agresorów, o ludziach spotkanych w Kesonie, jedynym ocalałym z pożogi mieście.

w Kesonie. Z tej grupy ludzi (z którymi żyliśmy się bardzo w ciągu wspólnej pracy i wspólnego mieszkania) obejmującej dziennikarzy koreańskich, chińskich i europejskich, trzech przynajmniej zasługuje na bliższą uwagę. Są to Anglicy: Wilfred Burchett i Alan Winington oraz Włoch, Ricardo Longone.

Najciekawszym człowiekiem jest Burchett. Jest to wybitny publicysta i dziennikarz, pełniący przez 13 lat funkcje korespondenta zagranicznych pism zachodnich, autor wielu książek o problemach europejskich i dalekowschodnich. Ten szpakowaty człowiek jest właściwie Australijczykiem, urodził się w roku 1911 blisko Melbourne, w miejscowości o dziwnej dla Australijczyków nazwie: Strelecki (Strezelecki — znakomity podryśnik polski — przyp. A. B.). W czasie ostatniej wojny światowej Burchett pracował jako korespondent wojenny londyńskiego „Daily Express”, przebywając z wojskami amerykańskimi i brytyjskimi w czasie walk na Pacyfiku i w Burmie. Książka, którą potem wydał, została w wojskowej cenzurze amerykańskiej w Waszyngtonie, potwornie okrojona ze wszystkich krytycznych uwag, jakich nie szczędził autor stronie amerykańskiej, jak również z wielu faktów, które zaobserwował. Obserwując pilnie, i od wielu lat, ruch wyzwolenczy Azji, wydał znaną i u nas książkę „Plomien nad Azją”. Po wojnie, jako korespondent tegoż „Daily Express” w Berlinie, spędził trzy pierwsze lata (1946—49) w Niemczech, obnażając w słynnej książce „Kalter Krieg in Deutschland” kulisy i metody denazifikacyjnej polityki zachodnich władz okupacyjnych. Później jako korespondent londyńskiego „The Times” przebywał na Węgrzech i w Bułgarii, pisząc śmiało książkę o krajach demokracji ludowej (jest tam m. in. rozdział o Polsce, ale Polskę Burchett stosunkowo pobieżnie poznał).

Pobyt w Korei ostatecznie otworzył oczy uczciwemu, z głębi ducha postępowemu i uważnemu publicyście. W Panmundżonie oficjalnie poprosił stronę ludową o umożliwienie mu pozostania w Kesonie. Tak więc od roku 1951, od początku rokowań rozejmowych, Burchett przebywał jako korespondent paryskiego dziennika „Ce Soir” w Kesonie, demaskując przed czytelnikami krajów kapitalistycznych zbrodnie i przestępstwa amerykańskie, popełniane na narodzie koreańskim.

Wśród dziennikarzy z różnych krajów, spotykających się na rokowaniach w Panmundżonie, toczy się zacięta walka polityczna. W tej walce o oddziaływanie na opinię publiczną krajów zachodnich niemałe zasługi położył Wilfred Burchett pisząc do spółki z Winingtonem wstrząsającą i rewelacyjną książkę „Koje unscreened”, odsłaniającą ponury dramat Kożedo. Książkę tę, wydaną w języku angielskim w Pekinie w kwietniu br., wręczył w Panmundżonie wszystkim dziennikarzom amerykańskim, wywołując ogromne poruszenie w kręgach dziennikarskich, albowiem nikt z nich nie mógł zaprzeczyć prawdziwości zawartych w niej faktów, autentyczności zgromadzonych dokumentów.

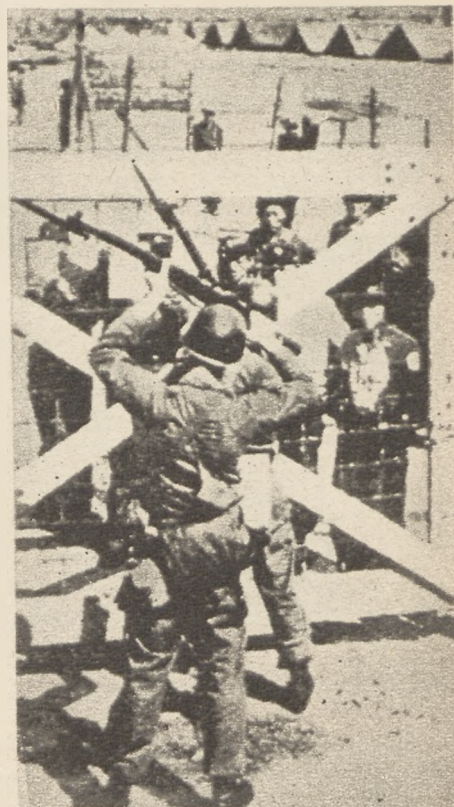
Drugim reprezentantem prawdziwej opinii narodów zachodnio-europejskich w Korei jest Alan Winington pracujący jako dziennikarz od przeszło 17 lat, przy czym przez ostatnie 11 lat związany się na stałe z londyńskim organem partii komunistycznej „Daily Worker”. Winington, wysoki, długonosi i flegma-

tyczny Anglik, był jedynym zachodnim dziennikarzem, który przebył całą chińską wojnę domową u boku Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwolenczej. Przeszło pięcioletni pobyt w Chinach dał mu dużą znajomość języka i kultury chińskiej. Winington był również pierwszym dziennikarzem, który przybył w roku 1950 do Korei i brał udział w całym marszu na południe wraz z Koreańską Armią Ludową. Obserwował on również od początku rozmowy rozejmowe w Panmundżonie. Jest to szczerzy, uczciwy londyńczyk, liczący obecnie 42 lata.

Wreszcie trzecim dziennikarzem zachodnio-europejskim, pracującym w imię pokoju i prawdy, jest korespondent włoskiej „l'Unita”, Ricardo Longone, przybyły tutaj w początkach bieżącego roku, żywy, impetyczny Włoch, który przebywał niedawno w Hiszpanii w czasie głośnego strajku robotników Barcelony. Wszyscy ci trzej ludzie żyjący z ludem koreańskim i walczą uczciwie o ugruntowanie prawdy o Korei wśród najszerszych mas swych narodów. Atmosfera prawdziwego internacjonalizmu, panująca wśród dziennikarzy zgromadzonych w Kesonie, zjednuje im prawdziwą serdeczność ze strony koreańskich i chińskich kolegów.

Wieczorem w dniu 25 czerwca generał Nam Ir zorganizował zabawę taneczną w wielkiej sali pofabrycznej. Przy dźwiękach chińskiej orkiestry tańczył cały Keson. Koreańscy generałowie, zrzuciwszy paradne mundury z powodu ogromnego upału panującego w szczelnie zaciemnionej przed samolotami sali, w krótkich koszulkach i spodniach z lampasami, hasali z koreańskimi pielęgniarkami z wojskowych lazaretów i grupą chińskich artystek z zespołu opery, wchodzącego w skład oddziałów ochotników chińskich w Korei. Naród koreański, społeczeństwo Kesonu obchodziło trzecią rocznicę wybuchu wojny w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku, w pełnym przekonaniu o słuszności swej sprawy.

Późną nocą wracaliśmy przez zaciemnione ulice miasta, jedyne nie zniszczonego z powierzchni ziemi miasta Korei. Mijały nas tłumy koreańskich kobiet w pięknych różnokolorowych wzorzystych jedwabkach, z koszykami i



„...pisząc książkę odsłaniającą ponury dramat Kożedo. Wręczył ją w Panmundżonie dziennikarzom amerykańskim, wywołując ogromne poruszenie...”

dzbankami niesionymi na głowie, tłumy żołnierzy koreańskich i chińskich; widzieliśmy starców siedzących w białych pantoflach na progu domów i palących cienkie fajeczki bambusowe, a przede wszystkim mrowie dzieci z czarnymi grzywkami, dzieci w marynarskich bluzkach, hałaśliwych, wesółych, żywych. Keson stał się oazą dla dzieci z całej Korei. Tutaj mogą uczyć się i bawić spokojnie na ulicach. Tutaj również koncentruje się życie kulturalne Korei, szpitale, prasa. Tutaj, w ciemnym, o rozłupanych ścianach budynku przerobionym na prowizoryczny teatr, widzieliśmy przed paroma dniami wystawioną przez młody, półamatorski zespół sztukę Roger Vaillanda „Pułkownik Foster przyznaje się do winy” w języku koreańskim. Tutaj w Korei, na 38 równoleżniku, ten „Pułkownik Foster” nabierał nowej, przekonującej prawdy życia.

Idąc przez ulice miasta widzieliśmy stale biały słup reflektora, wsparty o jasne kołko na chmurach, gdzieś za ciemnymi wzgórzami o kilka kilometrów na wschód od Kesonu. Tam był Panmundżon, most do porozumienia i rozejmu.

Keson, w lipcu 1953.

W obchodzie urządzonym dla upamiętnienia trzeciej rocznicy wybuchu wojny w Korei, ulicami miasta Keson przeszły także zespoły koreańskich tancerek.





Po dwóch latach i siedemnastu dniach rokowań rozejmowych — delegacja koreańsko-chińska (pierwszy od prawej — generał Nam Ir) osiągnęła wreszcie swój cel.



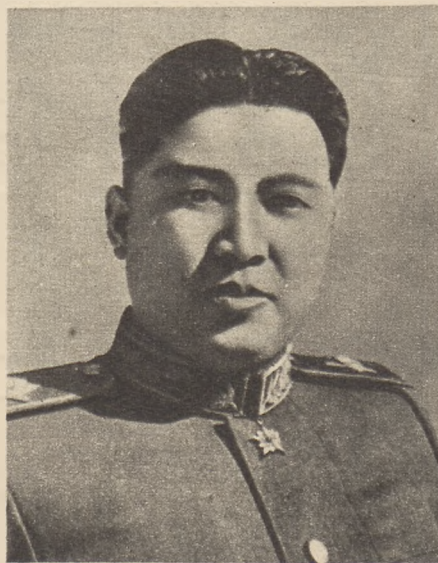
Panmunżon — Tu trwały rokowania, na których wynik dwa lata czekał cały świat.



Oto pawilon, w którym dnia 27 lipca 1953 roku podpisany został rozejm w Korei.

LATARNIE PHE

ARTUR MIĘDZYRZECKI



Marszałek Kim Ir Sen, dowódca bohaterskiej Koreańskiej Armii Ludowej.

dolarów, 900 tysięcy oficerów i żołnierzy, tysiące samolotów i czołgów. Na Wall Street, która witała wojnę koreańską radosnym prosperity, zapanowała trwoga pokoju.

Jakże wybornie nauczyliśmy się jednak z podobnych okazji dyalektyki pojęć! *Nasza radość*, ludzka, prosta radość pokoju, radość milionów ludzi w Polsce i w Anglii, w Związku Radzieckim i w Ameryce, w Czechosłowacji i we Francji, *jest ich obawą*, obawą mrocznych gield i skorumpowanych dziennikarzy. *Ich radością* jest wojna i faszyzm, wszystko, co poniża człowieka, godzi w jego przyszłość i życie. Nie było takiego zbrodniczego środka, którego nie użyliby w wojnie koreańskiej. Nie było takiego złośliwego wykrętu, którego by nie wykorzystali dla stordowania rokowań. Przegrali na obu frontach: na polach bitew i w próbach zerwania porozumienia.

1128 dni i nocy wojny koreańskiej, to 1128 dni i nocy nieustraszonej działalności milionów obrońców pokoju na pięciu kontynentach świata. Konkretne pokojowe propozycje Związku Radzieckiego, pełne dobrej woli głosy Ludowych Chin i Ludowej Korei niosły dobrą nadzieję. Bronili jej dokerzy Marysli, górnicy Walii, chłopcy z Reggio d'Emilia, taksówkarze Nowego Jorku. W świecie ludzkiej godności, energia atomowa burzyła wał Turgajski, siły społeczeństw służyły pomyślności człowieka, popłynęły statki po wołgo-dońskim kanale, zadymiały kominy nad węgierskim „Stalinvaros”, w Częstochowie rozpoczęły pracę nowe hutnicze piece, w rzeszowskiej wsi zakładano nowe przedszkole. Ludzie, którzy je budowali, podpisali Apel Sztokholmski, czytali z tros-

W PHENIANIE palą się lampy uliczne. Jest ich chyba niewiele. Sekretarz Departamentu Stanu, Dulles, chełpi się, że ziemia w Korei została w zasadzie spustoszona. Ziemia Korei bombardowana była z lądu, morza i powietrza przez trzy lata i trzydzieści trzy dni nieludzkiej wojny. Ziemia Korei czekała dwa lata i siedemnaście dni na pomyślne zakończenie rokowań o rozejm. W ziemię i rokowania godziła ta sama ręka, która dzisiaj unosi się w chełpliwym geście na eleganckiej prasowej konferencji.

Kiedy jednak uczestnicy konferencji piszą później w swoich dziennikach artykuły *podsumowujące* koreańską ekspedycję, to bilans wypadu katastrofalnie przede wszystkim dla agresorów. W Phenianie palą się lampy. Jest ich zapewne mało. Niewiele ocalało domów w walczącej stolicy. Ale miasta wolnych narodów nigdy nie znikają z powierzchni ziemi. Hitlerowcy zrujnowali nasz kraj i obrócili w perzynę Warszawę. Dzisiaj miasta nasze piękniejsze są niż kiedykolwiek. Warszawa była i będzie. I będzie również brat jej serdeczny, umęczony i bohaterki Phenian.

Byliśmy z tym miastem przez 1128 dni i tyleż nocy, białych od napalowego ognia. Wysoko płonął stos wojenny, tańczyli wokół niego ludożercy. przygrywały im do tańca najznakomitsze jazzowe orkiestry. W pierwszych miesiącach wojny powstał za oceanem nowy taniec, nazywał się „Korea — hop”. Kiedy go prezentowano na Broadwayu, latające fortece bombardowały bezbronną ludność kolejnej koreańskiej wsi. Po trzech latach oddziały koreańskie i chińscy ludowi ochotnicy opuścili jednak linie bojowe z pieśnią zwycięstwa.

W lipcu 1950 roku, kiedy zaczynała się wojna, na eleganckich prasowych konferencjach nazywano ją kilkudniową akcją policyjną.

W listopadzie 1950 roku Mac Arthur zapewniał swoich żołnierzy, że najbliższą wigilijną wieczerzę spożywać będą w Stanach Zjednoczonych.

Przeciw ludowej Korei rzucano doborowe dywizje i eskadry najnowocześniejszych samolotów. Po trzech latach i trzydziestu trzech dniach góra Son Ak — gniazdo lisynmanowskiej agresji — znalazła się na północ od linii frontu. Agresorzy stracili nie tylko 35 kilometrów terytorium. Stracili 20 miliardów





Generał Peng Teh-huai, dowódca ochotników chińskich walczących w Korei.



„...ale miasta wolnych narodów nigdy nie znikają z powierzchni ziemi. Warszawa była i będzie. I będzie również brat jej serdeczny, umęczony i bohaterski Phenian. Byliśmy z tym miastem przez 1.128 dni i tyleż nocy, białych od napalnego ognia”.

ką depesze z Korei, czytali wiadomości ze wszystkich części świata, który z ogromnym zdecydowaniem domagał się rokowań i porozumienia.

„Odwróćmy od ludzkich piersi wyłoty dział” — mówił na warszawskim Kongresie Pokoju Ilja Erenburg — i hasło to ogarnęło społeczeństwa, stało się wielką materialną siłą. Nie wiemy ile ulicznych lamp pali się w Phenianie po odwołaniu zaciemnienia przeciwniczego. Ale wiemy przecież, że jedną z tych lamp zapaliła na pewno angielska obrończyni pokoju, Monika Felton, że inna z latarni Phenianu pali się dzięki budowniczym kanału Wołga-Don, a jeszcze inna — dzięki pracy śląskich górników i łódzkich tkaczy. W Korei

zakończyły się działania wojenne. 28 lipca żołnierze obu stron opuścili strefę zdemilitaryzowaną. 27 lipca o godzinie 10 wieczorem ustał ogień artyleryjski pod Kumsonem i Kesonem. Nad linią okopów zapłonęły znicze. W liniach okopów zapanowała radość, którą dzielimy całym sercem.

W te doniosłe dni myślimy o wielu sprawach. Przed wrześniem 1939 Polska Śmigłego i Becka uznała, jako pierwsze państwo, faszystowską aneksję Abisynii i był to jeszcze jeden symbol polityki kontynuującej targowicką linię zaprzaństwa i zdrady narodowej. Przed wrześniem 1939 Polska Śmigłego i Becka sławiła frankistowską agresję przeciw republikańskiej Hiszpanii i sprzymierzała się z najmroczniejszymi siłami hitlerowskiego faszyzmu. Polska prawdziwa żyła wtedy w salwach Brygady im. Jarosława Dąbrowskiego i w cierpieniach więźniów Rawicza.

Narzuca się nieodparcie to wspomnienie, kiedy w dniu koreańskiego rozejmu z dumą i wzruszeniem odczuwamy silnie wspinała się jedność uczuć polskiego społeczeństwa i jego ludowej władzy; kiedy Polska urzeczywistnionych marzeń najlepszych jej synów, ziemia wyzwolona i braterska, wyraża jednomyślną przyjaźń dla bohaterskiej Korei, kiedy Rząd Polski Ludowej deklaruje jej swoją pomoc, a polscy architekci opracowują projekty budowli dla nowego Phenianu.

„Bo szczęście, widzisz, mój drogi, jest — i ojczyzna — i ludzkość”. Nie wszyscy ludzie w Polsce znają zapewne tę linię Cypriana Norwida. Wszyscy jednak dobrze rozumieją jej treść. Przychodzą więc ludzie spod Ciechanowa do gołotczańskiego Domu Dziecka, ażeby uściskać drobne ręce jego małych koreańskich mieszkańców. Musimy strzec uśmiechu tych dzieci. Siły wojen i śmierci ogarnięte są trwogą pokoju i nie zamierzają bynajmniej rezygnować z nowych zbrodni. Nie zapominają o tym nawet ci, dla których rozejm oznacza powrót do odległego domu, powitanie dawno niewidzianej rodziny, koniec napalmowych nocy. Żołnierz brytyjski, jeńiec Edward Mac Manus oświadczył na wieść o rozejmie:

„Wspinała jest to wiadomość, ale musimy jeszcze zaczekać i zobaczyć, czy Amerykanie dotrzymają umowy”.

Opinia Mac Manus wyraża opinię milionów ludzi. Ogarniętych radością, pilnie śledzących za wykonaniem warunków rozejmu, czujnych.



Dla narodu amerykańskiego rozejm w Korei oznacza zakończenie bezsensownego przelewu krwi młodych Amerykanów o wiele tysięcy kilometrów od ich ojczyzny.

W Domach Dziecka w Polsce znalazły troskliwą opiekę dzieci koreańskie, które narząd na ich kraj pozabawił rodziców — poległych w boju lub na skutek nalotów.



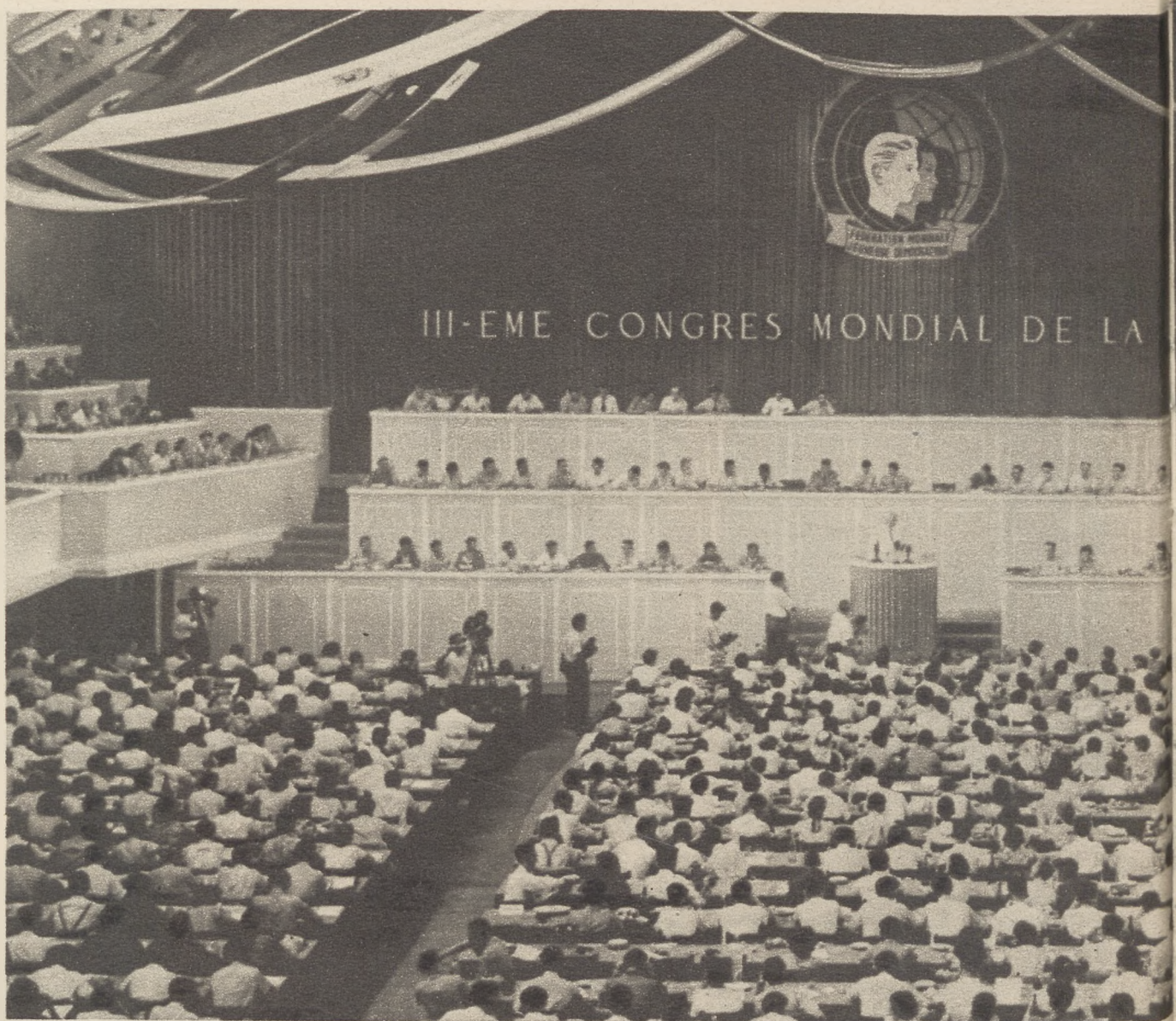


Oto charakterystyczna bukareszteńska grupa: łączy ich przyjaźń mimo różnic zapachów i koloru skóry...



Przybyły delegacje polska i chilijska. Witali je serdecznie młodzi Rumuni, witali koledzy z innych krajów, którzy przybyli wcześniej. Za chwilę znów wyląduje samolot, nastąpią powitania... Jutro rozpoczną się obrady

Jest delegacja australijska, oraz inne z krajów kapitalistycznych, mimo szykan ze strony swych władz...



1500 DELEGATÓW PRZYBYŁO ZE 106 KRAJÓW, ABY DAĆ WYRAZ JEDNOŚCI MŁODZIEŻY CAŁEGO ŚWIATA

WIELKIE DNI BUK

Specjalny fotoreportaż Agencji Agerpress dla „Świata“

Jedność młodzieży świata w walce o pokój, przyjaźń i realizację praw młodego pokolenia — oto cel jaki postawił przed sobą III Światowy Kongres Młodzieży i Studentów w Bukareszcie. Jak tę jedność jeszcze bardziej wzmocnić? O tym mówiło przeszło 200 dyskutantów wobec zgromadzonych 1 500 delegatów, reprezentujących młodzież 106 krajów. Mówili o tym młodzi komuniści, socjaldemokraci, liberalowie, katolicy, protestanci, ewangelicy, muzułmanie — robotnicy i chłopci, naukowcy i dziennikarze, studenci, artyści i sportowcy, posłowie do parlamentów i działacze społeczni... Z szerokiej, nieskrępowanej dyskusji wyłoniła się wielka prawda: młodzież całego świata chce pokoju i przyjaźni między narodami, pragnie uczyć się, pracować, nienawidzi

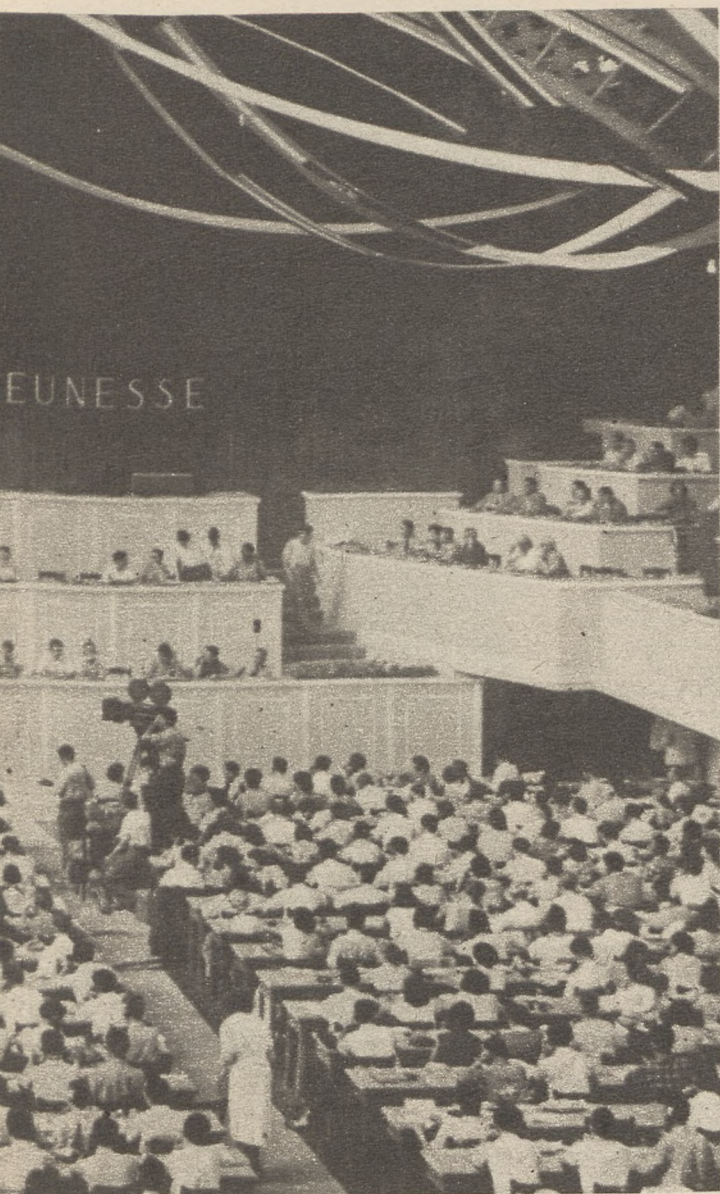
krzywdy i wyzysku. Młodzież całego świata cementować będzie przyjaźń, umacniać jedność w walce o pokój dla świata, o własne szczęście. Na czele tego wielkiego ruchu młodzieżowego kroczy Światowa Federacja Młodzieży Demokratycznej, która wzrasta liczebnie i zdobywa sobie coraz większy autorytet: dzięki wstąpieniu do Federacji nowych organizacji reprezentuje ona dziś 84 miliony młodzieży. Światowy parlament młodzieży stał się potężną manifestacją jedności młodego pokolenia, a 2 sierpnia rozpoczął się wspaniały Festiwal — pokaz umiejętności artystycznych i sportowych młodzieży całego świata. Stolica Rumuńskiej Republiki Ludowej przeżywa swoje wielkie dni, dni jedności, przyjaźni, braterstwa.

Autograf przyjaciela zza oceanu to piękna pamiątka tych niezapomnianych dni w stolicy Ludowej Rumunii.



Młodzież rumuńska przygotowała podarunki delegatom na Kongres: Są to wspaniałe dzieła sztuki ludowej.





WE WSPÓLNEJ WALCE O POKÓJ I SŁUSZNE PRAWA.



Wielkie zwycięstwo obozu pokoju: rozejm w Korei! Czy można zakomunikować lepszą wiadomość delegatom młodzieży, która nieugięcie walczy o pokój! Delegatom koreańskim zgotowano niebywale serdeczną owację.

ARESZTU



Nie brakło ochotniczek do takiej pracy: amatorskie zespoły artystyczne muszą wystąpić w nowych strojach.



Każde przemówienie tłumaczone było na kilka języków. Organizacja Kongresu w Bukareszcie była doskonała...



Serdeczna przyjaźń wiąże delegatów Wietnamu i Francji. To nie ci Francuzi są sprawcami „brudnej wojny“...

2 sierpnia rozpoczął się wspaniały festiwal Młodzieży i Studentów w Bukareszcie. Na setkach imprez artystycznych i sportowych młodzież ze stu sześciu krajów zaprezentowała widzom zebranym na stadionach swe umiejętności. Niesłabnącym powodzeniem cieszyły się masowe pokazy gimnastyczne sportowców rumuńskich.



IDAĆ PRZEZ WIEŚ

Tekst i zdjęcia: TADEUSZ SARNECKI

W GĘSTYM obłoku pyłu mrucał dobrotliwie silnik autobusu i jakiś młody głos pokrzykiwał: „Uwaga, z drogi, bo wezmę na rogi”. Z nagłą wionął jednak wiatr, taki podmuch, który bierze się nie wiadomo skąd i nie wiadomo gdzie przepada, pył spłynął w łąki, a przede mną ukazał się na hulajnodze Andrzejek Federenko. Obok biegła jego siostra, Marysia.

— Dzień dobry!

Dzieci przystały, zdumione kto je zaczepia. Popatrzyły na mnie podejrzliwie, już mnie więc zapomniały. Ano, trudno, trzeba będzie jakoś odnowić przerwana przez czas przyjaźń.

Znajduję się pod wsią Jurowce na drodze do Brzozowa, kędy w przebraniu chłopskim chadzał kiedyś rewolucjonista Julian Goslar. Łatwiej widocznie niż ja nawiązywał znajomość z dziećmi, bo gdziekolwiek się znalazł, najpierw rozmawiał z nimi, aby później wejść do chaty na rozmowę z ich rodzicami, wobec których potępiał pańszczyznę i wykladał demokratyczne zasady przyszłego ustroju Polski.

Nie wiem jednak, jak Goslar postępował z dziećmi, nie zachowała się o tym żadna tradycja. Jeśli idzie o mnie, Marysi podarowałem pierścionek, a Andrzejkowi gwizdek. Marysia nałożyła pierścionek na pulchny paluszek i uśmiechnęła się, oczywiście najpierw do swej rączki, a później dopiero do mnie. No, z Marysią już jesteśmy przyjaciółmi. A z Andrzejkiem? Również, ale nie stało się to tak od razu. A nuż gwizdek nie jest jak się należy? Andrzejek musiał to sprawdzić, zaświstał najpierw delikatnie, jakby muzyk stroił instrument, a następnie wypuścił z płuc cały zapas powietrza. Co tu mówić, drugiego takiego gwizdka nikt nie ma i to nie tylko w Jurowach, ale i we wsi sąsiedniej. Andrzejek spojrzał na mnie uważnie i z całą powagą zapytał — A był pan u nas w przedszkolu?

Ze wstydem wyznaję, że nie.

— To może pójdzie pan z nami teraz — mówi Andrzejek — Tylko że pan musi iść szybko, bo ja zawsze jeżdżę do przedszkola na hulajnodze, tak że Marysia prawie całą drogę biegnie.

Gwizdnąwszy, wskoczył jedną nogą na swój wspaniały pojazd i aż zakurzyło się za nim po szosie.

— Andrzejku! Andrzejku! — wołała Marysia, ale nawet się nie obejrzał.

— Uspokój się, pójdziemy razem!

Grzecznie podała rączkę i zaczęliśmy iść w ślad za jej braciszkiem. Grupa wielkich, ciemnozielonych drzew zbliżała się do nas z każdym krokiem. Wkrótce doszliśmy do stawu, napełnionego gęstą, dawno nie wyszlamowaną wodą. Jak w najlepszym lustrze przeglądała się w niej z jednej strony pocztą, z drugiej od lat nieczynna gorzelnia. Dawny pałac Słoneckiego, w którym mieściło się teraz przedszkole, stał nieco dalej. Ledwo było go widać przez gęsto rozrośnięte drzewa parku, założonego przed trzystu z górą laty.

Grupa dębów jest tu jeszcze starsza. Potężną kępą wyrasta z ziemi tak masywnymi pniami, że mimo woli przystajemy. Ileż przeminęło już pokoleń, a one trwają. Podnosimy z Marysią wzrok na wspaniałe rozrośnięte korony. Jeden gąszcz gałęzi i liści! Światło słońca z trudem przesącza się przez szczeliny. Stąd, spod dębów, przestwór wydaje się nic nie znaczącą pustką, tłem, po to tylko istniejącym, aby pokazać, jak mocne są konary drzew, które były świadkami przemijania wieków.

Andrzejek, który dawno zniknął nam z oczu, znów pojawił się przed nami. Porzucił widocznie gdzieś hulajnogę, bo obiegał dęby jak szalony, wykrzykując swoje: „Uwaga, z drogi, bo wezmę na rogi”. Jest to mały, czarny, czarujący diabełek, wiecznie po łobuzersku uśmiechnięty. Marysia natomiast jest prawie biała, bielsza niż len. Zobaczywszy braciszka, wyrwała mi się z ręki i razem z nim obiegła kilka razy kępę dębów. Wreszcie zadyszani przysiedli oboje tuż u moich nóg.

Rozejrzałem się wokoło i widzę, że dość rozległy park nie ma żadnego ogrodzenia. Z szosy położonej nieco wyżej dwie białe drogi wpadają na zieleniec, widocznie, aby obieć podjazd pod ganek pałacu i znów wypaść na gościniec. Domyślałem się, że parkan rozebrano w czasie wojny, a więc należałoby go znów postawić. Mówię to do przechodzącego obok nas dozorcę nocnego, Fedaka.

— Dlaczego z n o w, tu nigdy nie było żadnego parkanu.

— Jak to? — dziwię się — to tak każdy bez trudu mógł wejść na teren pańskiej rezydencji?

— Wejść, wszedł, tylko, że wyjść to już nie mógł.

Zdziwienie moje było bardzo szczere, a pewnie i łatwe do odczytania w twarzy.

— Tak, tak — ciągnął Fedak — wejść mógł każdy, a wyjść było trudno. Widzi pan, Słonecki trzymał specjalnie tresowane psy. Te cap za spodnie i nie puszczały, dopóki nie zezwolił im na to on sam, lub chociaż jego rządcą, nikt inny. Te psy lepiej strzegły parku niż ogrodzenie.

Fedak poszedł w kierunku domu, spać po nocnym dyżurze. Minęła go grupka dzieci, przetoczyła się obok nóg pulchna, puciołowata i roześmiana. Bez obawy wkroczyła do parku. Uwaga! Ostrożnie! A prawda, psów Słoneckiego już nie ma, już dzieciarnia wiejska nie musi poprzestać na tym, że siedząc przy drodze pożera wzrokiem piękne kwietniki i wspaniały teren do zabawy. Obok ich domu śmierdząła gnojówka, a zaraz dalej rozpoczynało się pole. Gdzież więc miały się bawić, chyba tylko na drodze. Od parku nie dzieliło ich wprawdzie żadne ogrodzenie, ale wejść i tak nie mogły. Słonecki spokojny był o swe rabaty. I o to, że jego dzieciom żadne z tych obrzydliwych bachorów nie przeszkodzi w zabawie. I kto mógłby powiedzieć, że odgradzał się od wsi parkanem!

Czy inaczej było za czasów Goslara? Musiał tedy przechodzić, bo tuż za Jurowami od wieków biegnie w lewo droga do Brzozowa. Czy zwyczajem swoim rozmawiał tu z dziećmi i ich rodzicami. Czy powiedział im, że panowie ich



To dopiero uciecha! Takiej zjeżdżalni nikt nie ma w całej okolicy. Dzieci jurowieckie

krzywdzą. Musiał im to powiedzieć, bo gdy Szela ze wsi Smarzewa poderwał chłopów do buntu, za powiatami: bocheńskim, tarnowskim, sądeckim i jasielskim, poszedł również powiat sanocki. Ta krzywdą paliła się jeszcze w oczach dzieci z Jurowec, gdy siedząc przy drodze patrzyły na pański park, do którego nie wolno im było wejść bez groźby zetknięcia się z kłami psów.

Andrzejek wypoczął już, odszukał w trawie hulajnogę i po twardej, doskonalnej białej ścieżce ruszył w stronę pałacu. Nie daliśmy się tym razem zbyt wyprzedzić, jednocześnie prawie z Andrzejkiem wpadliśmy na podjazd, gdzie siedziało z dwadzieścioro dzieci w różnym wieku: dwuletnie brzdące z pękającymi brzuskami i siedmioletnie, wybierające się już na jesieni do szkoły. A z nimi, jak tu się mówi starym jeszcze obyczajem, „pani” czyli przedszkolanka, Janinka Witkós. Ma pełne ręce roboty, to znaczy trzyma w ramionach Marysię Czaję, siostrę Bolka, która płacze, bo nie ma jej brata.

— Ta wciąż beczy — mówi o niej z pogardą Andrzejek, jej sąsiad, i z całą godnością stawia pod ścianą hulajnogę.

— Pójdziemy, pani, do służy? — pyta z miejsca.

Tuż za pałacem biegnie z łąk strumień i napotkawszy na służę, wznosi się aż do jej wysokości, a potem spada z szumem na betonowe obramowanie i płynie dalej do mostku na szosie. Jest to ulubione miejsce kąpieeli wszystkich dzieci. Ale przedszkolanka nie podejmuje propozycji Andrzejka.

— Niech pan obejrzy przedszkole teraz — mówi do mnie — i to teraz brzmi szczególnie mocno. Odwiedzałem je dwa lata temu, a więc wobec szybkiego rozwoju życia w Polsce — bardzo dawno. Idziemy tedy do przedszkola. Z korytarza przez kuchnię, z której zalał się smakowity zapach kakao, wchodzimy do dwu dawnych komnat dworskich, świeżo wymalowanych jasnymi barwami. Na oknach firanki, między oknami wspaniałe, siedmiolampowe radio i oczywiście grupa dzieci zasłuchana w śpiew i muzykę. Radio jest doskonałe, z NRD, ma głęboki, przyjemny ton. Meble jakby je wstawił tu „Ład”: estetyczne, z polerowanej sosny kwadratowe stoły i małe krzesła. W drugiej komnacie również oryginalne o ładowskich cechach leżanki. Tu dzieci obowiązkowo śpią po obiedzie co najmniej godzinę. I wszędzie pełno zabawek! Klocki, rozkładane domki, najprzeróżniejsze gry obrazkowe, liczydła, wózki, samochody, traktory. I...



Jeśli tylko dopisuje pogoda, Andrzejek jedzie do przedszkola na hulajnodze.



Jego siostra, Marysia, chce tak dobrze żyć na maszynie, jak jej ciotka Antonina

Córka Piecucha, również Marysia, nie zawsze ma czas na zabawę. Pomaga matce w gospodarstwie lub pracuje w polu, oczyszczając z chwastów buraki cukrowe.





oblegają ją codziennie — chyba że pada deszcz lub zdarte są już do cna majteczki.

— Proszę, niech pan spojrzysz przez okno — mówi przedszkolanka.

Na niewielkiej polanie pod prawdziwie niebotycznymi grabami i dębami, niewiele mniejszymi od tych przy drodze, stała wysoka zjeżdżalnia, oblepiona wprost dziećmi. Co chwilę któreś z nich siadało w gładkiej rynnie i było już na dole. Oczywiście nie brakło tam mojego przyjaciela — Andrzejka.

— Najbardziej ulubiona rozrywka dzieci — wyjaśniała przedszkolanka.

Gdy stanąłem przy Andrzejku, zaproponował: — Zjedzie pan?

— Ależ skąd, czy widziałeś kiedy, aby czynił to ktoś w moim wieku?

Andrzejek nie był przekonany tym argumentem. Drwiąco i jak zwykle nieco po łobuzersku uśmiechnął się do mnie i rzekł:

— To żadna sztuka, to tylko pierwszy raz wydaje się trudne.

— O, proszę! — wykrzyknęła Marysia i już stoczyła się w dół jak bilardowa kula.

Jednak odmówiłem.

— Pójdę do twojego tatusia. Jest w domu?

Andrzejek kiwnął tylko głową i znów pisał się po drabinie na zjeżdżalnię.

Władysław Fedorenko, przewodniczący spółdzielni w Jurowicach, mieszka na uboczu, za łąkami, w przysiółku Popiele. Poszedłem przez mostek, pogrążyłem się w trawie. Gdy znalazłem się w połowie drogi, dobiegł mnie plusk wody i często powtarzający się krzyk dziewcząt: „Proszę pani, on się chlapie!” — To dzieci zażywały już przy służbie kąpiele.

Wszedłem na wzgórek. Stąd mogłem objąć wzrokiem resztę wsi aż po kostarowieckie łąki. Wieś wydawała się wymarłą. Ani jednego okrzyku dziecka, najwyżej dobiegało mnie kwilenie niemowląt, ale i ono wyprowadzi się wkrótce z chat do żłobka, który kończono już urządzać tuż obok przedszkola w tym samym pałacu Słoneckiego.

Cisza była kojąca, nagle zza wzgórza dobiegło mnie miarowe uderzenie motyki o ziemię. Przyspieszyłem kroku i, gdy skończył się osłonięty gęstym krzewem głogu zakręt drogi, ujrzałem dziecięcioletnią mniej więcej dziewczynkę. Pielila buraki i nawet na mnie nie spojrzała, choć obcy przybysz w każdej jeszcze wsi budzi nieśnałe zaciekawienie. Przystanąłem. Po pewnej dopiero chwili przerwała pracę i oparła się na trzonku motyki, wystającą jej nad głowę. Ręką ocierała pot, obficie spływający spod włosów.

— Pielisz buraki?

— Piele. Mama kazała.

Stąd jeszcze było słychać okrzyki dziatwy, kąpiącej się przy służbie. Dziewczynka chciwie w tamtą stronę nadstawiała ucha. Mogłem zrozumieć, co się z nią działo. Nie chcąc jej drażnić zaniechałem rozmowy i odszedłem.

Było już blisko do domu przewodniczącego. Choć Andrzejek nie skłamał, nie zastałem go w mieszkaniu, wyszedł gdzieś w pobliże na łąkę i musiałem trochę poczekać. Jego żona wprowadziła mnie do obszernego pokoju, który już znałem. Był jednak uzupełniony nowymi meblami, a wśród nich półka na książki. Do czego w takim pokoju wyciągnie się najpierw wasza ręka. Oczywiście do książek. I to raczej do okazałych, zajmujących najwięcej miejsca. Wziąłem więc „Młode pokolenie chłopów” i zacząłem przerzucać kartki: „Gdy miałem 4 lata — pisał jeden z autorów — zmuszony byłem coś niecoś w domu postugiwać, a także paść gęsi, których było zawsze ponad 20, przeganiając je na pastwisko oddalone o pół kilometra. Raz, gdy gnałem gąsiora sąsiada, tak mnie sfluły, że musiałem dwa tygodnie w łóżku leżeć... Innym razem, gdy gnałem bydło, psy sąsiada tak mnie pogryzły, że byli ze mną dwa razy u lekarza”.

Nie można mnożyć tych cytatów, należałoby przecież przedrukować całe „Młode pokolenie chłopów”. Pozwolicie więc, że tego zaniecham, sądzę zresztą, że sami wiecie, jak było na wsi przed wojną: młodzież nie miała tam swego dzieciństwa, najczęściej pracowała już w gospodarstwie od czwartego roku życia.

Rozległy się kroki. To gospodarz tego domu wracał z łąk. Powstałem na powitanie.

— A więc znów zawędrował pan do nas.

— A znów.

— A dzieci podrosły i pewnie już by pan ich nie poznał.

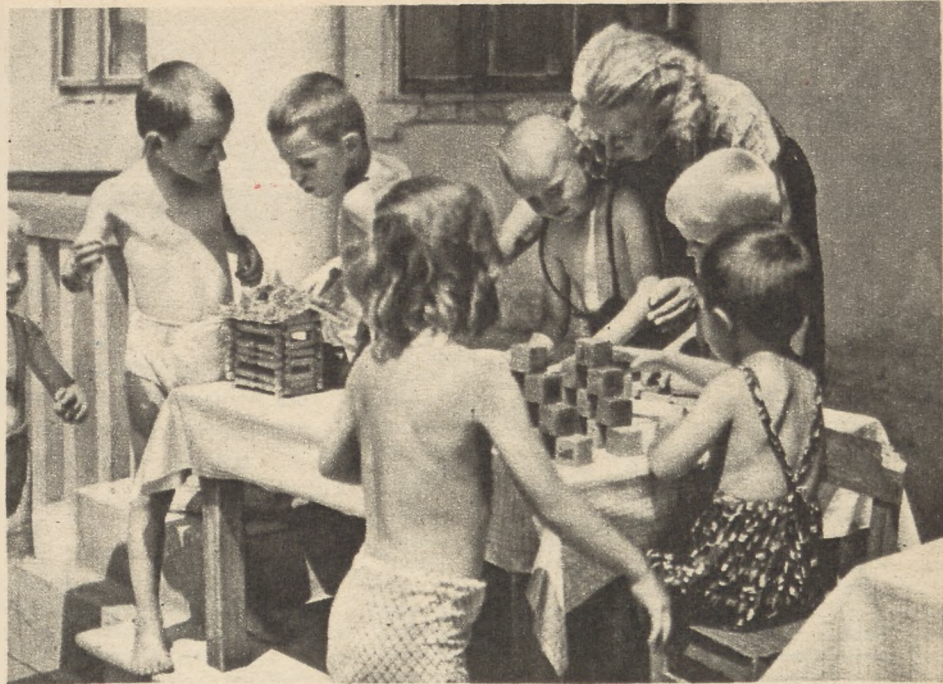
Władysław Fedorenko wskazał na fotografie, licznie zdobione ściany. Byli na nich moi przyjaciele: Marysia i Andrzejek, dwa małe, bruchate brzdące, trzymające się za ręce.

— Już się z nimi zaprzyjaźniłem, spotkałem je na drodze do przedszkola. I jeszcze spotkałem kogoś... powiedzcie mi, kto to jest ta dziewczynka, którą widziałem na zagonie buraków, obok chaty z bocianami?

— A, ta dziewczynka, to Marysia Piecuchów. Cóż, pracuje ciężko, ale musi pomóc swym rodzicom.

— A dlaczego inne dzieci nie pracują?

— Inne dzieci? No, jakby to powiedzieć... To prosta właściwie sprawa. Ojciec Marysi nie należy jeszcze do spół-



Zabawki! Ileż razy marzyła o nich dzieciarnia wiejska, widząc je dawniej tylko we dworze. Dziś w przedszkolu otrzyma wszystko, czego tylko zapagnie.

dzielni, cała rodzina musi mu więc pomagać w obróbce pola. Nasze dzieci są już od tego wolne.

Było w tym powiedzeniu niemal coś bolesnego. Wieś ma przedszkole, oczywiście dla wszystkich, organizuje żłobek, również dla wszystkich, a jednak nie wszystkie dzieci mogą korzystać z tych dobrodziejstw. Jadąc autobusem z Sanoka widziałem, że spółdzielcze buraki pielili dorosłe kobiety, matki tej dzieciarni, która pluskała się teraz w wodzie. Czyż nie widzi tego Piecuch, ojciec Marysi, czyż jego samego nie martwi los córki.

— Oni się bardzo męczą — mówił o Piecuchach Fedorenko — już ledwie zapią. Oczywiście pomagamy im po sąsiedzku, ale jest taka jedna prawda: nie dorównasz traktorom — ani rękami ani koniem. Staranna uprawa ziemi — a Piecuch dobrym jest gospodarzem — zmusza w pewnych okresach roku całą rodzinę do pracy. Na jesieni mają już przystąpić do spółdzielni. I dzieci Piecucha odzyskają wtedy swobodę.

Przyszło nam za chwilę wracać tą samą drogą. Marysia pielila jeszcze buraki, choć słońce paliło niemiłosiernie. Utkwiwszy oczy w ziemi, tłukła motyką o skamieniałą, gliniastą glebę w dziwnym zapamiętaniu. Widocznie zagłuszyć chciała w sobie całą, wezbraną w niej

gorycz. Krzyki nad służą wzmogły się. Gdy kąpało się przedszkole, zbiegała się wtedy nad strumieniem cała dzieciarnia wiejska. A jej tam nie było.

Władysław Fedorenko bywał czasem bezceremonialny. Przystanął przy opłotkach, przywołał do siebie ojca Marysi.

— Mógłbyś już ją puścić, nie. W takim słońcu dziecko trzymasz na polu.

Piecuch zaczerwienił się, czuł się winny.

— Marysi! Marysi! — krzyknął — dość już, chodź do domu.

Zrazu nie wierzyła, odstawiła motykę z wahaniem, ale później pędem pobiegła w obejście. Gdzieś z obórki wytoczyły się jej młodsze siostry. Wszystkie coś robiły, jedna niosła naręcz drew, druga ciągnęła za sobą skopek z wodą. Widząc Marysię podbiegły do niej pytając: — To już pójdziesz z nami na łąkę?

Widocznie nie mogły wyjść do przedszkola bez opieki starszej siostry. W trójkę minęły nas wkrótce jeszcze na drodze we wsi. Prawie biegły w lekkich, mocno podniszczonych sukienkach i prosto ścieżką przez łąki skierowały się ku strumieniowi. Ich twarze, radośnie podniecone, wyrażały najwyższe zadowolenie. Nic dziwnego, biegły na spotkanie dzieciństwa.

Znane jest wiejskie przysłowie: „Kto się często zmywa, tego ubywa”. Nie stosują się jednak do niego dzieci z Jurowic. Wieś ta pozbawiona jest rzeki, ale przez łąki płynie strumień, którego wody spiętrza służa. Jest to ulubione miejsce kąpiele.



MONACHIUM

STEFAN ARSKI

W roku bieżącym mija piętnaście lat od haniebnej konferencji monachijskiej, która była wyrokiem śmierci na ówczesną Czechosłowację i wstępem do wrześniowej katastrofy Polski.

NAZWA tego niemieckiego miasta na długie lata pozostała symbolem upadku i upodlenia polityki burżuazyjnej. Tu zjechali się Hitler i Mussolini, Chamberlain i Daladier, by wydać wyrok śmierci na Republikę Czechosłowacką. Cwiartowano żywe ciało niepodległego państwa, skazywano je na zagładę. Ofiarę wydali w ręce kata jej sojusznicy, rządy Francji i Wielkiej Brytanii. Dbali o to, by „nowy porządek” w Europie został zaprowadzony „bez zakłócenia spokoju”. Istotnie, spokój nie został zakłócony. W obronie Czechosłowacji nie padł z ich strony ani jeden strzał.

A przecież Francja miała sojusz z Czechosłowacją. Przecież Anglia wielokrotnie oświadczała się ze swą przyjaźnią dla Czechosłowacji. Nic to. Gdy Hitler zażądał kraju sudeckiego — dostał go przy pomocy Francji i Anglii. Nastąpił wypadek bez precedensu. Ultimatum do Czechów, domagające się absolutnego podporządkowania żądaniom Hitlera, wysłano Paryż i Londyn, a więc sojusznicy. W pełnych przewrotności i oszustwa dziejach dyplomacji burżuazyjnej mało jest kart równie ohydnych i nikczemnych jak Monachium.

Rządy Anglii i Francji były całkiem nieźle poinformowane o rzeczywistych zamiarach Hitlera wobec Cze-

„pragnął, by rząd Jego Królewskiej Mości wywarł jak najsilniejszą presję na rząd Czechosłowacji, celem skłonięcia go do ustępstw, aby oszczędzić Francji tragicznego dylematu: złamania sojuszu albo wplątania się w wojnę”.

W tym jednym zdaniu tkwi właściwie cała geneza Monachium.

Rząd brytyjski spełnił życzenie Bonnetta. Hitler bardzo to sobie cenił. Henderson informował Londyn 18 maja 1938 roku, że „Rząd niemiecki w pełni docenia wysiłki brytyjskie w Pradze i chętnie widziałby dalsze próby doprowadzenia do zgody na gruncie postulatów niemieckich”.

Czemu nie? Hitler dążył konsekwentnie do zaboru Czechosłowacji, ale — jak głosiła jego dyrektywa z 18 czerwca 1938 roku (ujawniona podczas procesu norymberskiego):

„Jestem zdecydowany podjąć akcję przeciwko Czechosłowacji tylko w tym wypadku, jeśli będę miał zupełną pewność, tak jak w chwili remilitaryzacji Nadrenii i zajęcia Austrii, że Francja nie uderzy na nas, a wobec tego Anglia pozostanie bezczynna”.

Jak widać, postulaty Bonnetta znakomicie pasują do instrukcji Hitlera. Nic więc dziwnego, że sytuacja z dnia na dzień ulega zaostrzeniu. Henlein, który działa ściśle według instrukcji z Berlina, prowokuje coraz to nowe zajścia i wysuwa coraz to nowe żądania. Najpierw mowa jest o wyrównaniu „krzywd” mniejszości niemieckiej w Sudetach. Potem żądania autonomii. Potem domaganie się praw, które tworzyłyby z mniejszości niemieckiej w Czechosłowacji rodzaj państwa w państwie. Wreszcie żądanie plebiscytu... Rząd czechosłowacki, pod presją swych sojuszników, kroczy od ustępstwa do ustępstwa, ale jest rzeczą widoczną, że Henlein i jego berlińscy mocodawcy traktują całą sprawę mniejszości sudeckiej jedynie jako pretekst do rozpętania akcji, która doprowadzi do oderwania kraju sudeckiego od Czechosłowacji. To zaś było jednoznaczne z rozbiorem i likwidacją niepodległego państwa czechosłowackiego.

Gra pod batutą Hitlera rozwija się coraz szybciej. Wreszcie kryzys zaostrza się tak dalece, że rząd brytyjski godzi się przyjąć osobistego wysłannika fuchrera, kapitana Wiedemanna, który też 18 lipca przybywa do Londynu. Owocem poufnych rokowań jest kolejne ustępstwo Chamberlaina i Halifaxa. Hitler chce dostać Sudety z rąk sojuszników Czechosłowacji, ci zaś gotowi są to życzenie spełnić. 26 lipca Chamberlain komunikuje w parlamencie, że rząd brytyjski zgodził się wysłać do Pragi arbitra w osobie lorda Runcimana, by rozstrząsał „spór” między Niemcami sudeckimi a rządem praskim.

„Arbiter” zachowuje się w Czechosłowacji, jak gdyby instrukcje otrzymał wprost z Berlina. Jego stronnictwo i nietajona niechęć do Czechów jest tak widoczna, że nawet niektóre ugody wobec Hitlera nastroszone organy prasy brytyjskiej zaczynają dawać wyraz swemu niezadowoleniu. Ratowanie pozorów to rzecz bardzo ważna. Niemniej misja Runcimana kończy się fiaskiem. Hitlerowi była ona potrzebna jedynie w celu zyskania na czasie.

We wrześniu uznał wreszcie, że godzina wybiła. 12. IX wygłasza swe prowokacyjne przemówienie w Reichstagu, będące sygnałem do rewolty w Sudetach. Henleinowcy rozpoczynają akcję zbrojną, lecz natrafiają na nieoczekiwany sprzeciw ze strony niemieckiej ludności kraju sudeckiego. Tylko nikły odsetek mieszkańców podchwytuje hasła hitlerowskie. Władze czechosłowackie szybko opanowują sytuację. Henlein ucieka do Rzeszy. Hitler wybucha bezsilną wściekłością. Pucz się nie udał.

W tym właśnie momencie Bonnet i Chamberlain dochodzą do wniosku, iż należy nawiązać osobisty kontakt z fuchrerem. Nagły zwrot sytuacji budzi w nich obawy. A nuż rząd czechosłowacki zdecyduje się na stawianie oporu? To byłoby fatalne. 15 września Chamberlain leci do Berchtesgaden. Najbardziej zdumiony był sam Hitler. Przyznał potem, że Chamberlain „spadł mu wprost z nieba”. Nie omieszkał jednak wyzyskać okazji. Po raz pierwszy padło teraz słowo „aneksja”. Hitler zażądał, by Czechosłowacja odstąpiła mu teryren kraju sudeckiego. Chamberlain gotów był pójść i na to, choć zaledwie tydzień przedtem Foreign Office stwierdził oficjalnie, że Wielka Brytania godzi się na maksimum ustępstw wobec Henleina z wyjątkiem... odłączenia kraju sudeckiego.

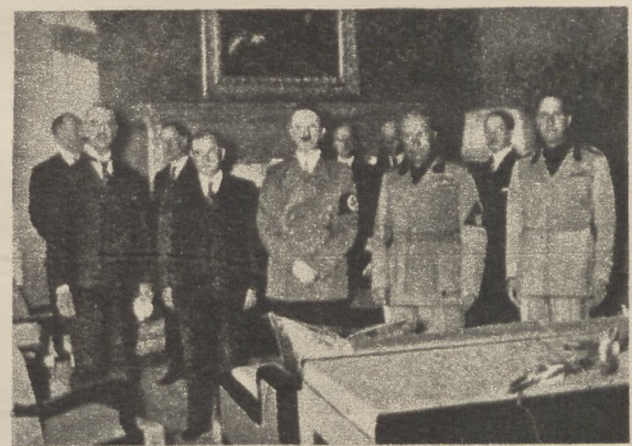
17 września, po powrocie z Niemiec, Chamberlain zwołuje posiedzenie gabinetu. „Hitler — oświadcza — zrobił na mnie wrażenie człowieka, na którym można polegać”. W porozumieniu z gabinetem francuskim rząd

brytyjski wypowiada się za przekazaniem kraju sudeckiego Niemcom. Następuje łączne ultimatum brytyjsko-francuskie do rządu praskiego. „Rząd Francji i Wielkiej Brytanii rozumieją ogrom poświęcenia Czechosłowacji — brznia obłudne słowa noty. — Ale czują się w obowiązku wspólnie ustalić warunki niezbędne dla bezpieczeństwa...” Następuje żądanie bezwarunkowego odstąpienia Hitlerowi wszystkich obszarów zamieszkałych co najmniej w 50 procentach przez Niemców. Oznacza to po prostu rozbiór Czechosłowacji. Po czym ultimatywny termin: „Premier musi wznowić rozmowy z fuchrerem najdalej w środę, a jeśli możliwe — wcześniej. Czujemy się więc w obowiązku żądać waszej odpowiedzi w terminie jak najkrótszym”. Tę notę uzupełnia werbalne oświadczenie ambasadorów Anglii i Francji: rząd czechosłowacki musi się zgodzić na przedstawione warunki „zanim wytworzy się sytuacja, za którą Francja i Anglia nie będą mogły wziąć na się odpowiedzialności”.

Rząd czechosłowacki akceptuje ultimatum Paryża i Londynu. Znaczna część burżuazji czechosłowackiej jest zresztą przerażona obrotem sprawy. Lęka się narazić Hitlerowi, a wizja wojny przeciwko faszyzmowi w sojuszu ze Związkiem Radzieckim budzi wśród reakcyjnych stronnictw czeskich i kleryków słowackich oraz wśród socjaldemokratów głębokie zaniepokojenie. W miarę rozwoju wydarzeń żywiły defetystyczne biorą coraz bardziej górę i wywierają coraz silniejszy nacisk na prezydenta Benesza i rząd, by skłonić ich do ustępstw wobec Hitlera. W końcu Benesz i jego ministrowie skłonni są „dać się zgwałcić”. Zwłaszcza, gdy ambasadorowie Anglii i Francji w rozmowie z Beneszem oświadczały niedwuznacznie:

„Jeśli rząd czechosłowacki nie przyjmie propozycji anglo-francuskich, cały świat uzna ten rząd za jedyne winowajcę wojny... Jeśli zaś Czesi połączą się z Rosjanami, to wojna może przekształcić się w pochod krzyżowy przeciwko bolszewikom. Wówczas rządom Anglii i Francji bardzo trudno będzie pozostać na uboczu”.

Innymi słowy, Francja i Anglia poszłyby z Hitlerem przeciwko Czechosłowacji, gdyby ta próbowała w opar-



Monachium. Tu zjechali się Chamberlain, Daladier, Hitler i Mussolini, by uśmiercić Czechosłowację...

ciu o Związek Radziecki bronić swej niepodległości. Dyplomacja zachodnia wzbijała się już na szczyty lajdactwa. Rząd czechosłowacki był już teraz wdzięczny za maksimum nacisku, który pozwoliłby mu kapitulację usprawiedliwić wobec własnej opinii. 20 września premier Hacha dał do zrozumienia ambasadorowi francuskiemu, że gotów jest na wszystko się zgodzić, byle tylko miał dowody odpowiednio silnej presji mocarstw zachodnich.

Ambasador Lacroix telegrafował do Paryża:

„Członkowie rządu czeskiego potrzebują tej przykryki, aby móc zaakceptować propozycje anglo-francuskie...”

22 września Chamberlain leci ponownie do Hitlera. Tym razem spotkanie następuje w Godesbergu. Premierowi brytyjskiemu nie będzie oszczędzone żadne upokorzenie. „Człowiek, na którym można polegać”, przyznaje go wyniośle i krótko przecina dyskusję, stwierdzając, że przywieziona przez Chamberlaina kapitulacja Czechosłowacji, Francji i Wielkiej Brytanii już mu nie dogadza. Żąda teraz ultimatywnie, by do dnia 1 września oddano mu te teryren Czechosłowacji, które wyznacza sporządzona przezeń mapa. Nowe żądania Hitlera przekraczają znacznie poprzednie. Chamberlain i tym razem ulega. Wraca do Londynu. Powtarza się znów procedura porozumienia z rządem francuskim, który gotów jest pójść na jak najdalejsze ustępstwa kosztem... swych sojuszników. Nowe, jeszcze ostrzejsze ultimatum do Pragi. I wreszcie 29 września 1938 roku Chamberlain jest gotów.

O godzinie dwunastej w południe dnia 29 września Hitler i Mussolini przyjmują łaskawie Chamberlaina i Daladiera w Monachium. Premierzy Francji i Anglii posłusznie akceptują dyktat. O godzinie 2 w nocy składają



Hitler serdecznie ściska prawicę Chamberlaina. Rząd brytyjski oddał Czechosłowację w ręce kata...

chosłowacji. Świadczą o tym raporty ich ambasadorów w Pradze i Berlinie. Cokolwiek potem rozpowiadał Chamberlain i Daladier, tłumacząc się „zaskoczeniem”, „brakiem rozeznania sytuacji”, a wreszcie „wiarołomstwem Hitlera” — było zwykłym oszustwem.

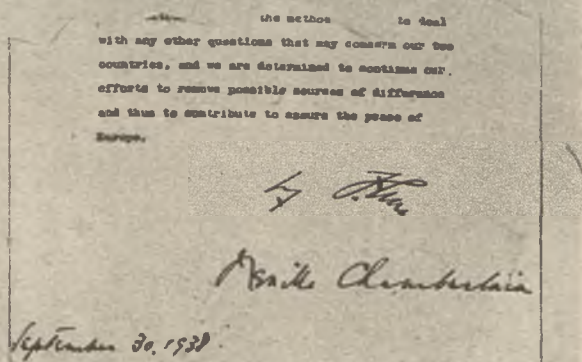
Już 5 kwietnia 1938 roku ambasador brytyjski w Pradze, Newton, informował Londyn o przebiegu swej rozmowy z ambasadorem niemieckim, dr Eisenlohem, z której wynikało jasno, że Niemcy „nie pragną bynajmniej uczciwego rozwiązania sprawy mniejszości sudeckiej, lecz dążą do rozluźnienia związku Sudetów z Pragą celem późniejszego oderwania tych terytoriów i włączenia ich do Rzeszy”. W dalszym ciągu ambasador Newton informował, że „partia niemiecko-sudecka (organizacja hitlerowska działająca na terenie kraju sudeckiego pod kierownictwem Henleina) będzie w niekończoną szantażowała rząd czechosłowacki, by osiągnąć maksimum ustępstw, co nie przeszkodzi jej w tym, by w dogodnym momencie oderwać Sudety i rozbić Republikę Czechosłowacką, jeśli to tylko będzie odpowiadało Rzeszy...” Raport kończył się przytoczeniem знаmiennej opinii ambasadora hitlerowskiego: „Czechosłowacja jest z trzech stron otoczona przez Rzeszę i może egzystować jedynie pod protektorem Rzeszy”. Była więc już w tej rozmowie zapowiedź nie tylko oderwania Sudetów, ale całkowitego zaboru Czechosłowacji.

Jeszcze wyraźniej sprecyzował program Hitlera wobec Czechosłowacji Goering w rozmowie z Hendersonem 16 kwietnia 1938 roku. Oświadczył mu, że konieczny jest „podział tego wyrostka robaczkowego (tak określał Goering Czechosłowację) pomiędzy Polskę, Węgry i Niemcy”. I tu więc mamy nie tylko program monachijski, ale i dalsze zamiary zaborcze wobec Czechosłowacji.

Mimo to rządy brytyjski i francuski szły w pełni na rękę Hitlerowi, często wręcz wyprzedzając jego życzenia. Gdy rząd czechosłowacki w obliczu narastającej presji niemieckiej w sprawie Sudetów odwoływał się do swych zachodnich sojuszników, ci bądź umywali ręce, bądź starali się nakłonić go do ustępstw. Charakterystyczna jest pod tym względem instrukcja brytyjskiego ministra spraw zagranicznych, Halifaxa, z 12 kwietnia 1938 roku:

„Jest rzeczą istotną przekonać rząd czechosłowacki o konieczności realnego traktowania sprawy i poczynienia mniejszości sudeckiej jak najdalej idących ustępstw...”

Takie było stanowisko Anglii. A Francja, którą łączył z Czechosłowacją formalny sojusz i konwencja wojskowa? Rząd francuski zachował się wręcz nikczemnie. Rząd francuski starał się za wszelką cenę wykręcić od spełnienia swych obowiązków sprzymierzeńca. Klucz do całej polityki francuskiej w tej sprawie stanowi rozmowa Bonnetta z Halifaxem, przeprowadzona w połowie maja 1938 roku w Genewie. Bonnet



Tekst porozumienia niemiecko-brytyjskiego, podpisanego przez Hitlera i Chamberlaina.

swe podpisy pod aktem bezprzykładnej kapitulacji i zdrady. Monachium stało się faktem. Czechosłowacja została wydana w ręce Hitlera. Poseł czechosłowacki otrzymuje kopię dokumentu „do wiadomości”. Jego zgoda jest oczywiście zbyteczna.

Rankiem 1 października 1938 roku kolumny wojsk hitlerowskich zaczęły się wtaczać przez granicę kraju sudeckiego. Bastion czechosłowacki leżał u stóp Hitlera bez wystřażu.

Podczas procesu norymberskiego padło pod adresem generała Keitla pytanie:

„Czy Rzesza zaatakowałaby Czechosłowację w roku 1938, gdyby mocarstwa zachodnie pozostały wierne swym zobowiązaniom wobec Pragi?”

Odpowiedź brzmiała: „Oczywiście, że nie. Byliśmy zbyt słabi wojskowo. Monachium miało na celu wyeliminowanie Rosji z polityki europejskiej, zyskanie na czasie i dopełnienie zbrojeń niemieckich”.

Tęgo pragnął Hitler i to dali mu Chamberlain i Daładier. Ale nie tylko oni. Był jeszcze jeden zakulisowy partner Monachium, o którym na ogół mało się mówi. Tym partnerem były... Stany Zjednoczone. Ambasador niemiecki w Londynie, Dirksen, w raporcie swym z dnia 13 października 1938 roku, podsumowuje przebieg wydarzeń, które doprowadziły do Monachium, opisuje szczegółowo rolę, jaką w tych dniach odegrał ambasador amerykański w Londynie, Kennedy.

Chamberlain — píše Dirksen — wtajemniczył Kennedy'ego w szczegóły swych rozmów z fuhrerem. Kennedy powiedział mi, że w krytycznych dniach odwiedził Foreign Office ze dwadzieścia do trzydziestu razy. Był w najściślejszym kontakcie z członkami ścisłego gabinetu Chamberlaina. Gdy Chamberlain powrócił z Godesberg i sytuacja była bardzo krytyczna, Kennedy zapytał członków gabinetu, co uczyniliby z Czechosłowacją po ewentualnym zwycięstwie Wielkiej Brytanii i jakie wyznaczyliby jej granice. Odpowiedź brzmiała, że granice te odpowiadałyby z grubsza tym, które są obecnie przedmiotem dyskusji. Wtedy Kennedy stwierdził, że byłoby czystym szaleństwem rozpocząć wojnę o granicę, skoro już jest w tej sprawie porozumienie”.

Tak to ambasador amerykański przekonywał rząd brytyjski o konieczności kapitulacji wobec Hitlera. Ale nie na tym koniec. Kennedy był również w stałym kontakcie z Dirksenem i informował go o postanowieniach i nastrojach kontrahenta brytyjskiego. On to doniósł Dirksenowi, że „Chamberlain jest przekonany o uczciwości i dobrych chęciach fuhrera”. Dzięki temu Hitler, mając informacje z kulis gabinetu brytyjskiego, mógł grać bez ryzyka.

DO KOŃCZENIA W NASTĘPNYM NUMERZE



Skutki Monachium nie dały na siebie długo czekać: w marcu 1939 roku wojska Hitlera wkroczyły do Pragi.

CZŁOWIEK STWORZONY JEST DO SZCZĘŚCIA, JAK PTAK DO LATANIA

W 100 rocznicę urodzin Włodzimierza Korolenki

WŁODZIMIERZ KOROLENKO był według określenia Gorkiego „człowiekiem o nieustającym pragnieniu prawdy — sprawiedliwości, człowiekiem, który do głębi serca czuł konieczność wcielania tej prawdy w życie”.

Twórczość Włodzimierza Korolenki (1853—1921) była ostrym protestem przeciwko samowładztwu, ciemnocie i wyzyskowi. Odegrała ona poważną rolę w walce narodów Rosji przeciwko obszarnikom i kapitalistom.

Korolenko bliski jest również narodowi polskiemu. Matka pisarza, Ewelina Skóriewicz, była Polką. Ona to oraz jego wuj Kazimierz Tucewicz — o których wspomina pisarz w swoich utworach — wzbudzili w nim miłość do ludu polskiego i jego kultury. Korolenko mieszkając na Wołyniu koło Równego, przyjaźnił się z Polakami, solidaryzował się z walką powstańców 1863 roku, wśród których miał sporo krewnych. Pisarz władał doskonale językiem polskim, znał dzieła literatury polskiej. Polacy, prosząc ludzkie, stali się później bohaterami niektórych jego świetnych nowel, pełnych miłości do ludu.

Ani zesłania, ani więzienia carskie nie złamały ducha pisarza-demokraty. Do końca życia nie wyrzekł się on walki o sprawiedliwość społeczną. Lenin wysoko cenił twórczość Korolenki. W swym epokowym dziele „Rozwój kapitalizmu w Rosji” Lenin wspominając o „Reportażach pawłowskich” Korolenki, nazywa go „postępowym pisarzem”.

Przebywając w kraju Jakutów, dokąd carat zesłał go za działalność rewolucyjną, Korolenko napisał nowelę „Sen Makara”, w której przedstawił tragiczne położenie chłopów jakuckich i zdemaskował gwałty i bezprawia „czynowników” carskich w stosunku do nieszczęśliwego narodu. Pisarz walczył o szczęście ludzkości, pragnął, aby szczęście było udziałem wszystkich ludzi pracy. „Człowiek stworzony jest do szczęścia, tak jak ptak do latania” — pisał w noweli „Paradoks”.

Korolenko był nieugiętym bojownikiem o sprawiedliwość społeczną. Zawzięcie zwalczał kolonizatorów carskich, dręczących narody Rosji, często występował w imieniu uciskanych narodów. W reportażu „Sprawa multańska” wystąpił w obronie chłopów — Udmurtów ze wsi Stary Multan, których władze carskie oskarżyły o mord rytualny. Prowokacją tą, zmierzającą do rozsiewania nienawiści narodowej, zamierzał rząd carski odwrócić uwagę narodów Syberii od rzeczywistych winowajców ich nieszczęść. Korolenko obnażył istotny sens i inspiratorów sprawy multańskiej. Pisarz, występując jako szlachetny obrońca małego gnębionego narodu, zyskał poparcie całej postępowej Rosji. Pod naciskiem opinii publicznej rząd carski musiał ustąpić; chłopci udmurcy zostali zwolnieni. Po zwycięstwie Rewolucji Październikowej chłopci wsi Stary



Multan w rejonie wiacko-polańskim, nazwał swój kołchoz imieniem swego obrońcy — Włodzimierza Korolenki.

Z całą energią występował Korolenko również przeciwko pogromom żydowskim, organizowanym przez władze carskie. Odważne wystąpienie Korolenki w obronie Bejlisa, oskarżonego również o mord rytualny, zmusiło carat do zaniechania tej prowokacji i do zwolnienia oskarżonego. Również i tutaj pisarz raz jeszcze zdemaskował carat jako dręczyciela narodu i napiętnował go jako organizatora czarnosecińskich pogromów.

Korolenko był jednym z pierwszych, którzy podpisali apel intelektualistów rosyjskich protestujący przeciwko carskim próbom nawrotu do mroku średniowiecza, znajdującym swój nieczyny wyraz w organizowaniu pogromów, procesów o mordy rytualne i innych prowokacji. Walka Korolenki przeciwko bezprawiu posiadała wielkie znaczenie polityczne i społeczne. Bojowe artykuły pisarza zdobyły mu powszechne uznanie.

W r. 1893 Korolenko zwiedzał wystawę światową w Chicago. Wspomnienia swoje z pobytu w Ameryce spisał w kilku reportażach oraz w powieści „Bez języka”, w których ujawnił fałsz tzw. demokracji amerykańskiej. Pisał on o prawie dżungli, o wilczym prawie „silniejszy pożera słabszego” panującym w Stanach Zjednoczonych. Pisarz wykazał jak niewolnictwo, które jest podstawą „amerykańskiego stylu życia”, powoduje, że „całe narody znikają z oblicza ziemi jak trawa w czasie pożaru”.

W okresie rewolucji 1905 r. Korolenko opublikował kilka artykułów, w których nakreślił niegodziwe oblicze osławionych prowokatorów — popa Hapona i żandarma Zubatowa, usiłujących według określenia pisarza „zaprząć młody ruch robotniczy do rydwanu policyjnego”.

Korolenko dożył dni, kiedy ustrój carski rozpadł się w gruzy. Sędziwy już pisarz widział triumf Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej, był świadkiem wyzwolenia swego narodu.

W latach władzy radzieckiej dzieła Korolenki stały się ulubionymi książkami narodów ZSRR. Utwory Korolenki przełożone zostały na liczne języki, w tym również na języki tych narodów, o których Korolenko pisał, w których obronie występował, a które przed Rewolucją Październikową nie posiadały nawet własnego piśmiennictwa.

W grudniu 1921 r. IX Wszechrosyjski Zjazd Rad minutą ciszy uczcił pamięć zmarłego w tym czasie pisarza. W czasie Zjazdu przemówienie o życiu i walce Korolenki wygłosił weteran polskiego ruchu robotniczego, proletariatyk Feliks Kon, który powiedział m. in. „Drogi jest nam Korolenko dlatego, że na przestrzeni całego życia był wszędzie tam, skąd dochodziły odgłosy nieszczęścia, gdzie panowała krzywda”.

W Polsce Ludowej dzieła Korolenki cieszą się rosnącą popularnością. Ostatnio nakładem „Książki i Wiedzy” ukazał się obszerny zbiór dzieł wielkiego pisarza.

JÓZEF KOZŁOWSKI

WPROWADZAMY SIĘ DO NOWYCH DOMÓW



W stosunkowo niedługim okresie 1948 — 1952 Zakład Osiedli Robotniczych oddał do użytku ludziom pracy 277 tys. nowych izb. W ciągu 5 lat powstało więc miasto nowych mieszkań równe przedwojennej Łodzi, tylko — rzecz jasna — bez jej ruder i rynsztoków, bez nieskanalizowanych, zaniedbanych robotniczych przedmieść.

Po pierwszej wojnie światowej, w ciągu siedmiu lat 1923 — 1929 wybudowano w Polsce 51.125 izb, czyli niewiele ponad 7 tys. rocznie. W roku 1953 ZOR buduje na terenie kraju około 212 tys. izb, z czego ponad 100 tys. oddanych będzie do użytku jeszcze w roku bieżącym.

Cyfrы te, choć mówią dużo, nie ilustrują jednak tego wielkiego zagadnienia, jakim jest budownictwo mieszkaniowe, które na ogół Czytelnik zna raczej tylko w kręgu Warszawy, Nowej Huty, Śląska czy Gdańska. A przecież te znane, wielkie ośrodki budownictwa — to tylko część, fragment zaledwie tego, czego dotąd dokonano i tego, co powstaje. Poznać całość zagadnienia — to znaczy poznać również to budownictwo, które powstaje w setkach większych i małych miejscowości na terenie całego kraju, stwarza nowe oblicze naszych miasteczek i osad, zmienia radykalnie warunki bytowe i kulturalne ich mieszkańców.



Osiedle w Stroszku, które otrzymało niedawno na życzenie mieszkańców imię Marszałka Polski Konstantego Rokossowskiego, jest jednym ze 130 osiedli budowanych dla górników i hutników Śląska. W nowych ZOR-owskich domach mieszka już blisko 30 tysięcy rodzin. Czwarty rok Planu Sześciolletniego da ludności Śląska dalszych 21.000 izb.



Miejsce zabaw dzieci przestała być ulica czy wilgotne podwórza czynszowych kamienic. Pod opieką wychowawczyń w słonecznych salach przedszkoli i na placach gier spędzają dziś radosne dni swego dzieciństwa. Na zdj.: jedno z przedszkoli.

Ta biała wstęga, przecinająca malowniczo położony na wzgórzach Ostrowiec Świętokrzyski — to świetlica nowego osiedla ZOR — na Skarpie. Czy wiecie, że przed wojną w Ostrowcu 55% ogółu budynków stanowiły stare drewniane budy, że

zaledwie w 5% mieszkań był wodociąg, a zaledwie trzy mieszkania na sto posiadały ubikacje? Czy wiecie, że 56,3% mieszkań było jednoizbowych, w których przeciętna załudnienia wynosiła 4,8 osób na izbę? W nowowytbudowanym osiedlu na Skarpie i w budowanym obecnie

drugim wielkim osiedlu — Kuźni, nie ma mieszkań bez łazienek. Nowe mieszkania są równocześnie jedyną w całym mieście, które posiadają centralne ogrzewanie. Do tych to nowych, jasnych, nowoczesnych mieszkań przeprowadzają się ludzie pracy z drewnianych ostrowieckich ruder.



Niezbędnym wyposażeniem osiedli wznoszonych według socjalistycznych zasad budownictwa są nie tylko nowoczesne instalacje w mieszkaniach, lecz także między innymi świetlice, domy kultury, czy kina. Oto właśnie jeden spośród trzydziestu pięciu

tego rodzaju obiektów oddanych do użytku — Dom Kultury w Rzeszowie. Znajduje się on w nowobudowanym śródmiejskim osiedlu; komfortowo wyposażony — służy rozwojowi socjalistycznej kultury, zapewnia po pracy przyjemne spędzenie czasu.



W pierwszej części nowej wielkiej dzielnicy Krakowa — na Grzegórkach mieszkają już lokatorzy. Wokół gotowych bloków wybudowano ulice, urządzono piękne kwietniki, zasiano na nich trawę. W roku bieżącym do nowych mieszkań wprowadzi się około

trzydzieści tysięcy ludzi pracy. Obok Grzegórek oraz miasta Nowa Huta Zakład Osiedli Robotniczych buduje jeszcze na terenie województwa nowe osiedla w Trzebinii, Chrzanowie, Dworach i innych miejscowościach.

Dzielnica Raków była tym dla przedwojennej Częstochowy, czym Bródno i Annopol dla Warszawy, lub Bałuty dla Łodzi — dzielnica ciasnych, przeludnionych ponad miarę, pozbawionych wszelkich instalacji, robotniczych mieszkań. Nowe budownictwo wyrównuje te krzywdy. Dziś na Rakowie jak również i na

Bałutach rosną nowe bloki — nowoczesne robotnicze mieszkania. Dziś na Rakowie — rzecz dawniej nie do pomyślenia — wybudowano dla dzieci i młodzieży ośrodek sportowy z nowoczesnie urządzonym basenem. Kąpielisko o krok od domu — to uzasadniona radość najmłodszych mieszkańców Rakowa.



AGNIESZKO, TY MASZ WAŻNE PAPIERY...

ANNA KŁODZIŃSKA

Rys. KAROL FERSTER

„Beuthen, 3 März 1912. Hochwürdigster und Durchlauchtigster Herr Kardinal! Eure Eminenz bitte ich ehrerbietigst wie folgt vorstellig werden zu dürfen. Bei der Verleihung der Eminenzgrube...“

„Bytom 3-marca 1912 r. — Wielce Szanowny i Przewielebny Panie Kardynale! Waszą Eminencję proszę najuprzejmiej rozpatrzyć, co poniżej przedstawię. Podczas dzierżawy kopalni „Eminencja“...“

Adresat listu: Se. Eminenz den Hochwürdigsten Herrn Kardinal Fürstbischof, dr Georg Kopp in Breslau.

W jakiej to, niezmiennie widać ważnej sprawie, ośmielił się w owych czasach pisać do księdza-arcybiskupa wrocławskiego, kardynała Koppa — skromny adwokat bytomski, w dodatku zastępca prawni jak nikłej osoby, jaką był chłop śląski Bartłomiej Wróbel?

Aby to zrozumieć, należałoby się właściwie cofnąć bardzo daleko wstecz, do lat, gdy w okolicach dzisiejszego Chorzowa i Dębu ziemia pokryta była lasami i szachownicą pól, Chorzów nie był nawet jeszcze wioską, a Dąb w ogóle nie istniał. Z tych lat, ściślej — z dn. 24.VI.1257 r., czyli prawie 700 lat temu, datuje się dokument, zaczynający się od słów:

„My, Władysław, z Bożej łaski książę Opolski i Raciborski, w uwzględnieniu dobrodziejstwa i zasług pana przeora Henryka i jego braci z domu Miechowskiego, daliśmy jemu pełną plenipotentcję założenia dwóch wsi, a mianowicie Chorzowa i Białobrzezia“. (dzisiejszy Dąb — przypisek A. K.).

Panowie Miechowscy założyli więc klasztor i otrzymali na własność dwie wsie. W 40 lat później, Kazimierz, książę bytomski, nadał im „wieczną wolność od opłat i danin“, o czym wspomina również w swych kronikach Jan Długosz.

Ale w założonych wsiach powstał kościół, a przy nim parafia, a w parafii osiadł proboszcz. Byli więc teraz jak gdyby dwie władze kościelne nad Chorzowem i Dębem — klasztor i chorzowska parafia. W dawniejszych latach przyjaźń obu instytucji trwała nierzadko nie złączone. Wskazują na to dokumenty. Bo gdy... ale tutaj trzeba zrobić małą dygresję, w której tkwi źródło owego późniejszego listu do kardynała dr Koppa. Mianowicie, w r. 1789 proboszcz parafii Chorzów-Dąb, Ludwik Bojarski, przechadzał się wieczorami po swych posiadłościach, znalazł „miejscę, w którym był gruby węgiel, na kilka metrów pod ziemią“ (T. Klenczar „Dotacja kościelna Chorzów-Dąb i rozwój jej górniczych stosunków“, wyd. r. 1938).

I od tego dnia rozpoczęły się obfite w wydarzenia, niezmiennie interesujące dzieje majątku skromnej parafii i klasztoru — majątku, który z czasem rozrósł się do fantastycznych na swe możliwości rozmiarów.

Wróćmy jednak na razie do owej przyjaźni, zadokumentowanej bardzo wyraźnie w r. 1787, gdy władze pruskie zażądały od ks. Bojarskiego (Ordnung

muss sein!) plenipotentcji przeora klasztoru na rozpoczęcie robót górniczych w odkrytym przez siebie węglu. „Odkrywa“ odpowiedział wprawdzie w dość kategorięcznym tonie, że wszelka plenipotentcja jest zbyteczna, gdyż „każdorazowy proboszcz chorzowski jest rzeczywistym panem gruntowym Chorzowa i otrzymał na zawsze wszystkie związane z własnością gruntową prawa“. Na co, widać, odebrał ojcowskie upomnienie ze stolicy biskupiej we Wrocławiu, bo uderzył w pokorę i zwrócił się do braciśzków o moralne wspomnienie.

Klasztor, który już od pewnego czasu śledził z rosnącym zainteresowaniem węglowe poczynania chorzowskiego proboszcza, odpisał skwapliwie:

„Skoro proboszcz Ludwik Bojarski nam należycie komunikował, w jaki sposób potrzebuje naszego zezwolenia na uzyskanie kopalni węgla... my temu wnioskowi tem mniej możemy się sprzeciwić, gdyż jego zamiary służą prawdziwemu powodzeniu i utrzymaniu majątku“. Podpisano: Mathaeus Gasper de Buydetzki, Praepositus Gnlis mpp.

Powodzenie majątkowe — a w dodatku: jego pomnożenie — czy ojcowie de Buydetzki etc. mogli tutaj pozostać obojętni?

Pierwszą nadaną ks. Bojarskiemu kopalnię nazwał on: „Książna Jadwiga“ (jak widać, proboszcz miał skłonności do wyskokurodzonych osobistości). Węgiel nie był w tej kopalni nadzwyczajny, toteż obrotny ksiądz postarał się szybko o drugą i nazwał ją „Nowa Jadwiga“. Majątek rósł. Co prawda później zaczęły się kłopoty ze zbyt wielką ceną węgla. Solą w oku proboszczy chorzowskich były kopalnie państwowe, które stwarzały silną konkurencję, mając lepszy węgiel. Jeden z proboszczy, Baeder, zwracał się kilkakrotnie do władz pruskich z prośbą o zakazanie kumulatywnej sprzedaży państwowym kopalniom, gdyż... utrudniało mu to skrzętnie gromadzenie majątku.

W innej, stokroć groźniejszej sytuacji znalazły się kościelne kopalnie w okresie, gdy Fryderyk Wilhelm III zarządził przejście wszystkich majątków kościelnych na własność skarbu pruskiego państwa. Na parafię i jej mocodawców — Kurję Wrocławska — padł blady strach. Stracić kopalnię? Pozbawić się dochodów? Za nie. Lepiej uderzyć w prośby do pruskiego pana. Klasztor miechowski wprawdzie już wtedy nie istniał, ale w Kurli projektowano podzielić tereny między parafię a szpital św. Ducha w Bytomiu, który należał do biskupiej stolicy. Zresztą, gros dochodów czerpał i tak książę kardynał.

Poszedł więc obszerny memoriał do następcy Fryderyka, Wilhelma IV. Wilhelm nie był zbyt twardym orzechem do zgryzlenia... W Sanssouci, 23.VII.1845 r. wydał edykt, w któ-

rym przyznaje cały majątek Dąb i Chorzów na rzecz katolickiego probostwa w Chorzowie i szpitala ad sanctum spiritum w Bytomiu. Na parafialnych gruntach znajdował się jeszcze wówczas stary szyb węglowy „Waterloo“, w którym obie instytucje kościelne miały 61 kuksów gwarek i 2 kuksy gruntowe. Reszta należała do tzw. „Funduszu Wolnych Kuksów“.

Co to były wolne kuksy? Były to po prostu udziały poszczególnych instytucji w zyskach kopalni, bez ponoszenia kosztów wydobycia. Proboszcz i szpital mieli kuksy z racji znajdowania się „Waterloo“ na swoich gruntach. „Fundusz Wolnych Kuksów“ był właściwie czymś w rodzaju towarzystwa gwareckiego (dziś powiedzielibyśmy: górniczego), w którego skład wchodził drobni akcjonariusze



górniczy. Fundusz ten zresztą obficie wspomagał potrzeby parafialne oraz troszczył się o szkoły i ubogich.

Józef Piwnikarczyk w swej „Historii Górnictwa i Hutnictwa na Górnym Śląsku“ podaje bardzo charakterystyczne zestawienie wydatków Funduszu z r. 1908:

na budowę plebanii 43.100 marek
na pomoce szkolne 26.160 marek i 23 fen.
na utrzymanie ochronek 5.103 marki
na budowę ochronek —

Po pewnym czasie parafia Chorzów-Dąb i szpitalowi zaczęły ciążyć obowiązki właścicieli tak dużego obszaru. Poza tym, obie instytucje wciąż kłóciły się ze sobą o prawa... tak, minęły już czasy idealnej przyjaźni i szpital nie poszedł w ślady braci Buydetzkich z miechowskiego klasztoru. Okazało się zresztą, że nie to „co na wierzchu“ — ale to „co pod spodem“ ma decydujące znaczenie w pomnażaniu dóbr ziemskich. Zaczęli się więc oglądać za nabywcą, który by „uwolnił ich“ (za dobrą opłatą) od wierzchu — zostawiając spodek...
Takim nabywcą okazał się pruski fiskus górniczy (czyli pruska państwowa własność górnicza), któremu za pośrednictwem radcy Erdmanna z Wrocławia sprzedano w r. 1903 „majątek Chorzów-Dąb ze wszystkimi budynkami i z całym inwentarzem żywym i martwym...“

Rzecz jasna, nie sprzedano — ani fiskusowi, ani nikomu — terenów szybu „Waterloo“ i innej, większej części pola górniczego. Sprzedany obszar wynosił 600 ha i przynosił asłściu arcybiskupowi we Wrocławiu ni mniej ni więcej tylko 1.700.000 marek niemieckich... Majątek rósł.

Pozostały obszar, wynoszący kilkanaście ha, był o wiele cenniejszym skarbem. Był terenem przyszłej wielkiej kopalni, która od swego „pana i władcy“ przybrała imię: „Eminencja“.

Gdy Urząd Górniczy, stwierdziwszy niebezpieczeństwo dalszej eksploatacji w szybie „Waterloo“ wskutek fatalnych warunków technicznych, zakazał wydobycia w nim węgla — „Fundusz Wolnych Kuksów“ poszukiwał dzierżawy innego terenu do eksploatacji. Szybko znaleźli się ofiarodawcy: proboszcz i szpital, którzy na dogodnych dla siebie warunkach oddali w dzierżawę pozostałe im pole górnicze. W rok później, 8 sierpnia 1904 r., obchodzone uroczyste uruchomienie pierwszego szybu „Jerzy“ w nowooteartej kopalni „Eminencja“.

I tutaj wróćmy do początku naszego opowiadania, do owego listu pisanego

przez pełnomocnika rodziny Wróblów do kardynała Koppa.

„...Poprzednik mego zleceniodawcy, a mianowicie chłop Wojciech Wróbel z Dębu, odstąpił swego czasu proboszczowi Baederowi ziemię, z którą były związane uprawnienia kuksowe...“

Jeżeli Wróbel ziemię odstąpił, to z jakiego powodu powstał proces, prowadzony przez jego potomków przez długie lata, a oskarżający... parafię Chorzowską i szpital?

Zajrzyjmy w stare akta sądowe; pod datą: 29.XII. 1930 r., Katowice — znajdziemy:

„Skargę spadkobierców po zmarłym Wojciechu Wróblu, a mianowicie... (tu następuje kilkadziesiąt nazwisk, widać Wróbel miał liczną rodzinę)... przeciwko:

1) katolickiej gminie kościelnej Parafii Chorzów, zastąpionej przez Zarząd Kościelny,

2) szpitalowi św. Ducha w Bytomiu — pozwanym o uznanie własności dwóch kuksów gruntowych. Powodowie są legitymowanymi spadkobiercami po sp. W. Wróblu, zmarłym dn. 22.II.1861 r. W r. 1830 był spadkobiercą W. Wróbel zapisanym właścicielem gruntu, położonego w Dębie, a zapisanego w księdze gruntowej Dąb, karta 15a i b...“

Suchym, prawniczym językiem napisane akta odkrywają nam coraz dziwniejsze dzieje sprawy: Wróblowie kontra proboszcz... Owe dwa kuksy: „...przypadły na rzecz właściciela gruntu, na którym miał stanąć szyb. Grunt ten był własnością W. Wróbla. Według obowiązujących wówczas rozporządzeń, właściciel gruntu miał prawo uczestniczyć w dalszych udziałach gwarectwa, musiał jednak w czasie 6 mies. rozpocząć roboty górnicze. Wróbel nie był tak silny finansowo, aby móc podjąć się tej sprawy. Wówczas...“

(Słuchajmy! — historia staje się coraz bardziej zdumiewająca)... wówczas proboszcz parafii Chorzów, ks. Baeder, przyjął do niego o kupno gruntu i stanął między nimi kontrakt kupna-sprzedaży. Natomiast nie nabyli ani proboszcz Baeder ani pozwani spornych dwóch kuksów gruntowych. Mimo to, ks. Baeder uzyskał w niewiadomy sposób owe dwa kuksy. Prob. Baeder wprowadził wniosek do Sądu wniosek o zapisanie tych 2 kuksów dla siebie. Sąd jednak wniosek ten odrzucił, gdyż prob. Baeder nie mógł wykazać się żadnym kontraktem nabywania. Następnie kuksy zostały w niewiadomy sposób przywłaszczony na pozwanym, oczywiście bez jakiegokolwiek tytułu prawnego...“

W niewiadomy sposób... Czyżby? Ej, może jednak znajdziemy w innym dokumencie sądowym wytumaczenie tajemnicy. Spójrzcie na stenogram z:

„Jawne posiedzenia Sądu Powiatowego w Katowicach, w sprawie spadkobierców W. Wróbla przeciw kopalni „Eminencja“. Świadek, syn Wojciecha Wróbla, Bartłomiej, zeznaje: — Trzy lata przed śmiercią ojciec mój był niewidomy. Ja go wszędzie oprowadzałem, miałem wówczas około 12 lub 13 lat. Często go prowadziłem do Gebura, zarządcy dóbr Jego Eminencji ks. biskupa wrocławskiego. Pytałem ojca, dlaczego tak często do Gebura chodzi, na co mi ojciec odpowiadał, że jemu — wzgl. Baederowi, proboszczowi chorzowskiemu, odstąpił dziedziczne prawo zabudowania (chodzi o zabudowę górniczą — przyp. A. K.), rezerwując sobie dwa kuksy na własność. Ojciec mówił mi także, że gdy będę miał 21 lat, mam iść do Gebura po pieniądze. Gdy ukończyłem więc 21 lat, zgłaszałem się odpowiednio — raz, że nie ma proboszcza, raz, że rachunki nie są gotowe, że pieniędzy nie potrzebuje, bo jeszcze mogę pracować, lecz, że mam czekać i pieniądze dostanę. Krótko przed śmiercią mojej matki Agnieszki przyszedł do niej zarządca Gebur i w mojej obecności powiedział: — Agnieszko, ty masz ważne papiery, a tu chodzą górnicy i może się od lamp dom drewniany, skomą kryty, spalić, a wtedy nie nie dostaniesz — daj mi je!“

Agnieszka Wróblowa, wdowa po Wojciechu, musiała być kobietą niezbyt mądrą, skoro uwierzyła, że właśnie na jej dom czyha groźba pożaru od górniczych karbidów... „Wówczas Gebur wyszukał niektóre z tych papierów i wziął je ze sobą na przechowanie. Później, gdy poszedłem do Gebura po te papiery i po pieniądze, tenże mi ich nie wydał i jeszcze nawymyślał. Ojciec mi opowiadał, że nie dostał pieniędzy ani za sprzedany grunt, ani za kuksy. Gdy Gebur zabierał pa-



Dokończono na str. 10

FOTO

KORRESPONDENCI DONOSZA

NAJSTARSZY GRÓD NAD SANEM



Sanok, widok rynku

Oprócz Jarosławia jest jeszcze jedno miasto na południu Polski, które istnieje już 800 lat. To bogaty w tradycje historyczne i proletariackie — Sanok. Pierwsza wzmianka o tym mieście pochodzi z r. 1151, o jego znaczeniu wspomina też rurski kronikarz Nestor.

Potężne wzniesienie skaliste było ongiś świetnym miejscem obronnym, czyniąc przed wiekami z Sanoka strażnika traktu handlowego prowadzącego przez przełęcz z Węgier ku nizinom małopolskim.

Mały początkowo gród rozwija się od chwili, gdy w roku 1866 Kazimierz Wielki przyznaje mu prawa magdeburskie, a mieszkańcom jego szereg przywilejów.

Był on stołeczną bogatą ziemią sanockiej, siedzibą licznych urzędów, miejscem zjazdów. Tutaj Jagiello w r. 1417 bierze ślub z Elżbietą Piasecką.

Stąd wyrusza po naukę — w pierw do Krakowa, a potem do dalekich Niemiec i jeszcze dalej do Italii — dwunastoletni chłopak wiejski, sławny później Grzegorz z Sanoka, jeden z najwybitniejszych humanistów polskich.

Zygmunt Stary modernizuje gród, wprowadzając wodociąg, lecz czasy późniejsze nie są już tak pomyślne dla miasta. Wiek XVIII sprowadził do Sanoka zaniedbanie i upadek, a zabór austriacki — znaną powszechnie „nędzę galicyjską”. Dopiero po pierwszej wojnie światowej bogate źródła ropy naftowej, a przede wszystkim nadmiar tanich

rań do pracy, ściągają do Sanoka spekulantów kapitałystycznych, którzy rozbudowują fabrykę wagonów i uruchamiają nowe zakłady przemysłowe (gumy, akumulatorów).

Na ucisk i wyzysk kapitałistyczny odpowiedział sanoccy KPP-owcy skrynym „marszem głodowym” w dniu 6 marca 1936 roku. Poprą ich strajkujący chłopci powiatu sanockiego. Sanocka klasa robotnicza nie przerwała walki, ponosząc olbrzymie ofiary podczas okupacji. Miasto ulega poważnemu zniszczeniu. Podczas gdy inne miasta ziem małopolskiej żyją już normalnie — Sanok i okolice przez długich kilkanaście miesięcy walczyć będą jeszcze z faszystowskimi bandami UPA.

Nie ma już fabrykantów, ale są robotnicy, którzy z gruzów odbudują fabrykę, swoją „Wagonówkę”.

Staremu zamkowi z połowy XVI w. pieczołowicie przywraca się jego zabytkowy charakter, wygrzebując spod późniejszych naleciałości renesansowe piękno. W nim mieści się jak dawniej — Muzeum Ziemi Sanockiej, nadzwyczaj czynna placówka kulturalna.

Dzisiaj miasto wypiękniało i — śmiało rzecz można — jest jednym z najświeższych w województwie rzeszowskim. Doskonałe jezdnie, zieleńce i skwery, wodociąg, elektryczność i gaz czynią z Sanoka nowoczesny ośrodek mieszkaniowy.

M. Zacharski

NOWY TEATR W LUBLINIE

Na inauguracyjnym przedstawieniu „Sprawy rodzinne” J. Lutowskiego w teatrze Warszawskiego Okręgowego Domu Oficera — sala była wypełniona do ostatniego miejsca.

Przedstawienie to, wystawione z dużą sumiennością zarówno przez młodego reżysera, Z. Siedleckiego, jak i przez cały zespół — cieszy się wielkim powodzeniem.

W roli Ireny wystąpiła Wanda Pawlikowska, Włodzimierz

mierz Hańcza grał Feliksa, starych Kamieńskich — Janna Laszczyk i Kazimiera Hublewski, a Rostkowskiego — Czesław Pręgowski.

Nowy teatr wystawiać będzie również operetki i komedie muzyczne, przy współudziale zespołu Pieśni i Tańca O. W. Warszawy. Jeszcze w tym roku przewiduje się wystawienie „Cyrułki Sewilskiego”.

Stefan Kubiak, Lublin

Fot. Cyprian



Scena z aktu I. Włodzimierz Hańcza (Feliks) i Wanda Pawlikowska (Irena)

CZYTELNICZKI Z BRYGAD „SP”



Krysta Cesarzówna z 385 brygady rolnej SP podkreśla, że wszystkie swoje osiągnięcia w pracy i nauce zawdzięcza książce. Otrzymała ona odznakę Przewodnika Pracy.

Skończyły się już tegoroczne „Dni Oświaty, Książki i Prasy”, ale nie ustało czytelnictwo.

Jest tak również i w brygadach „Służby Polsce”. Długo w noc płoną żarówki w juncach świetlicach. Z zapartym oddechem, z pionący mi przymą dziewczęta i chłopcy śledzą losy bohaterów, uczą się od nich, jak żyć i pracować po nowemu.

Ze tak jest istotnie, potwierdziła Narada Czytelnicza Junczek z rolnych brygad „SP”, która odbyła się w czerwcu w Krakowie. Przy-

były na nią junczki z województw: krakowskiego, kieleckiego, rzeszowskiego i lubelskiego.

Krysta Cesarzówna z 385 brygady, córka przewodnika pracy odznaczonego „Sztandarem Pracy”, podkreśla, że wszystkie swoje osiągnięcia w pracy i nauce zawdzięcza książce.

— To książka — mówiła Krysta — nauczyła mnie stać tam, gdzie pracować najtrudniej, gdzie z trudnościami walczyć należy z uporem.

Urszula Strzelczyk z 268 brygady oznajmiła, że posta-



30 uczestniczek Narady otrzymała odznakę Przewodnika Pracy. Oto dwie z nich, pracujące w 382 brygadzie rolnej: Weronika Młodzeń (po lewej) i Teodora Znaj (po prawej). W środku dowódca 382 brygady Jadwiga Nizio.

ZAGRANICZNI GOŚCIE W TORUNIU

Z UROCZYSTOŚCI KOPERNIKOWSKICH



Zagraniczni goście złożyli przed pomnikiem Mikołaja Kopernika piękny wieniec i wianuszek czerwonych kwiatów.

Na zaproszenie Polskiego Komitetu Obróbców Pokoju i Ogólnopolskiego Komitetu Obchodu Roku Kopernikowskiego do Torunia przybyło 30 wybitnych naukowców i intelektualistów, działaczy ruchu pokoju wszystkich niemal narodów świata.

Pośród gości przybyli m. in.: Michał Subotin — profesor Uniwersytetu w Leningradzie, Alfredo Varela — sekretarz Światowej Rady Obróbców Pokoju, literat argentyński, Li I-mang — przedstawiciel chińskiego ruchu Obróbców Pokoju, Carlos Vergara Montero (Chile), C. N. Malviya — członek Parlamentu Indyjskiego, prof. Pierre Biquard — członek Stałej Komisji Ruchu Pokoju we Francji, Ahmed Hessahy — delegat irańskiego Komitetu Obrony Pokoju, Daw Amah — członek Komitetu Obróbców Pokoju w Mandalay (Burma), wybitny literat i publicysta.

Wycieczkę, której towarzyszyła postanka Zofia Wasilkowska — członek Prezydium Polskiego Komitetu Obróbców Pokoju, i Ryszard Deperasiński — sekretarz Polskiego Komitetu Obróbców Pokoju, powitał Przewodniczący Prezydium MRN w Toruniu — Józef Wardach oraz delegacja

naukowców Uniwersytetu Mikołaja Kopernika.

W czasie pobytu w Toruniu zagraniczni goście zwiedzili miasto, dom, w którym urodził się Kopernik. Wystawę Kopernikowską, urządzoną w średniowiecznym ratuszu, oraz wystawę poświęconą okresowi Odrodzenia.

Podczas zwiedzania miasta i jego zabytków uczestnicy delegacji nawiązywali serdeczny kontakt z miejscową ludnością.

W czasie spotkania z naukowcami Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, P. Biquard — profesor Wyższej Szkoły Fizyki i Chemii w Paryżu — powiedział m. in.: „Rewolucyjna nauka waszego wielkiego astronoma uwolniła ludzi od zaciemnienia i strachu przed ciemnością i przyczyniła się do ogromnego postępu”.

Chatur Naresin Malviya — czołowy działacz ruchu pokoju w Indiach, zęgnając społeczeństwo Torunia i dziękując za niezwykle serdeczne przyjęcie stwierdził: „Wasz rodak Kopernik jest jedną z tych postaci, które dla nas, bojowników o pokój, stanowią źródło natchnienia w codziennej walce”.

Olgierd Galdyński, Toruń

nowiła wziąć przykład z Nadli Jegorowej, bohaterki powieści I. Irosznikowej „Bohaterki zaplecza”, i po zakończeniu turnusu stanąć do pracy przy budowie Nowej Huty.

Na Naradzie byli obecni delegaci brygad męskich, pracujący przy budowie Nowej Huty. Jeden z nich, Janek Krzywdziński, przewodnik pracy z brygady nr 56, opowiadał koleżankom, że książka „Jak hartowała się stal” i „Daleko od Moskwy” pomogły im sprowadzić na dobrą drogę bumelantów i „lasków”.

W dowód uznania za wybit-

nie osiągnięcia w pracy 30 uczestniczek Narady otrzymało Państwowe Odznaki Przewodnika Pracy, co sala powitała burzą oklasków.

Po dyskusji uczestniczki Narady zwiedziły Kraków i Nową Hutę oraz wzięły udział w zabawie.

Narada, która upłynęła naprawdę w szczerzej, przyjacielskiej i młodzieżowej atmosferze, raz jeszcze pokazała, że książka jest nieocenionym przyjacielem i wychowawcą.

Tekst: Tomasz Czabański
Zdjęcia: Feliks Tracis

ZACZĘLIŚMY OD PIŁKI NOŻNEJ



Nasza drużyna, piłki nożnej ma już poważne osiągnięcia: przyczyniła się ona do powstania w naszym oddziale sekcji lekkoatletycznej, siatkówki i ping-ponga. Z humorem

wiejszą utrzymuje stały kontakt, pomagając przy budowie boisk i rozgrywając zawody z LZS-ami.

J. Bielaki

FOTOGRAFIA NA CODZIEŃ

PIERŚCIEN GŁĘBI OSTROŚCI

„Jestem posiadaczem aparatu małoobrazkowego „Praktiflex” z obiektywem „Victar” 1:2,9. — pisze do nas inż. A. K. z Poznania. — Ponieważ nie mam żadnej instrukcji obsługi, proszę o wyjaśnienie mi, jakie zadanie spełnia skala przysłon od 2,9 do 16 umieszczona po obu stronach czerwonej kreski na statym pierścieniu”.

Owa skala przysłon, o którą zapytuje nasz Czytelnik — to pierścień głębi ostrości. O zagadnieniu tym pisaliśmy już wielokrotnie, podając również tabele głębi ostrości, potrzebne w wypadku, gdy nasz aparat nie posiada ani pierścienia, ani tabelki głębi ostrości obliczonej dla ogniskowej danego obiektywu.

Na oprawie obiektywu wielu aparatów, jak „Leica”, „Contax”, „Zorki”, „Practiflex”, „Rolleiflex” i innych oraz na pierścieniu statym, znajdującym się na przedniej ścianie aparatu, wyrzeźbione są cyfry odległości oraz cyfry przysłony, powtórzone po obu stronach wskaźnika, na który nastawiamy odległość fotografowanego przedmiotu. Gdy pokręcimy obiektywem nastawiając na ostrość, cyfry oznaczające odległość na jednym pierścieniu, znajdują się naprzeciwko cyfr, oznaczających przysłonę na drugim pierścieniu. Widzimy wówczas, że np. przy nastawieniu na odległość 7 m (mowa tu o obiektywach aparatów na film 35 mm, o ogniskowej 5 cm), cyfry przysłony 4,5 ustawione będą naprzeciwko cyfr 5 i ok. 11 metrów. Oznacza to, że przysłaniając nasz obiektyw na „4,5”, głębia ostrości obejmuje wszystkie przedmioty, znajdujące się w pasie od 5 do 11 metrów. Następne cyfry przysłony — „8,3” — położone są na pierścieniu naprzeciwko cyfr odległości 4,5 m oraz 15 m., cyfry przysłony „9” — naprzeciwko odległości ok. 4 oraz powyżej 30 metrów. — Widzimy więc tu potwierdzenie zasady, o której już poprzednio pisaliśmy, iż głębia ostrości rośnie w miarę jak przysłaniamy nasz obiektyw.

Umiejętne posługiwanie się pierścieniem głębi ostrości umożliwia nam racjonalne wykorzystanie przysłony, uzyskując przy stosunkowo niewielkim przysłonięciu obiektywu potrzebną nam dla naszego celu głębię ostrości. Na ogół fotografujemy nie zwracając uwagi na pierścienie i tabele głębi ostrości, przysłaniając obiektyw nabytym silnie, zmuszając się tym samym do stosowania powolnej migawki. Bywa też przeciwnie, iż fotografując przedmioty znajdujące się w dość znacznej odległości, nastawiamy zbyt niską cyfrę przysłony, nie dając głębi ostrości dostatecznej dla wyrysowania przez obiektyw ostro wszystkich przedmiotów na zdjęciu.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

T. Janicki, Poznań. — Filmów 16 mm nie ma obecnie w sprzedaży, zapowiadane jest jednak przez Zakłady Fotochemiczne „Filmu Polskiego” wypuszczenie niebawem na rynek właskiej taśmy własnej produkcji. Podajemy adresy firm zajmujących się wywoływaniem taśmy filmowej: Spółdzielnia „Filmia”, Warszawa, N. Świat 18 oraz Paweł Adam, Warszawa, Koszykowa 46.

Zb. Jelec, Warszawa. — Wiadomość o nowym wywoływaczu fińskiej fabryki produktów chemicznych Kaarlo Hayren w Helsinkach podana została w miesięczniku francuskim „Fotomagazin” z listopada 1952 r. — Nie znamy jeszcze wyników doświadczeń i nie wiemy, jaki jest skład tego wywoływacza, gdyż recepta jego stanowi tajemnicę produkcyjną. Nie jest wykluczone, że zapowiedziane przez prasę rewelacyjne wprost zalety wywoływacza, pozwalające na kilkudziesięciokrotne niedoświetlenie negatywu, okażą się bluffem reklamowym.

M. M. — Poznań. Z korespondencji Waszej pt. „Najbardziej zasłużonym” — nie skorzystamy. A. Z. — Poznań. Notatki o spytach jakiegokolwiek nie zamieszczamy, gdyż pisaliśmy już o tym w nr 30 „Świata”. Materiały fotograficzne zatrzymujemy do użytku redakcji.

O. Galdyński — Toruń. Prosimy o podanie dokładnego adresu.

B. Gawel — Olsztyn. Prosimy o adres Ob. Milewskiego.

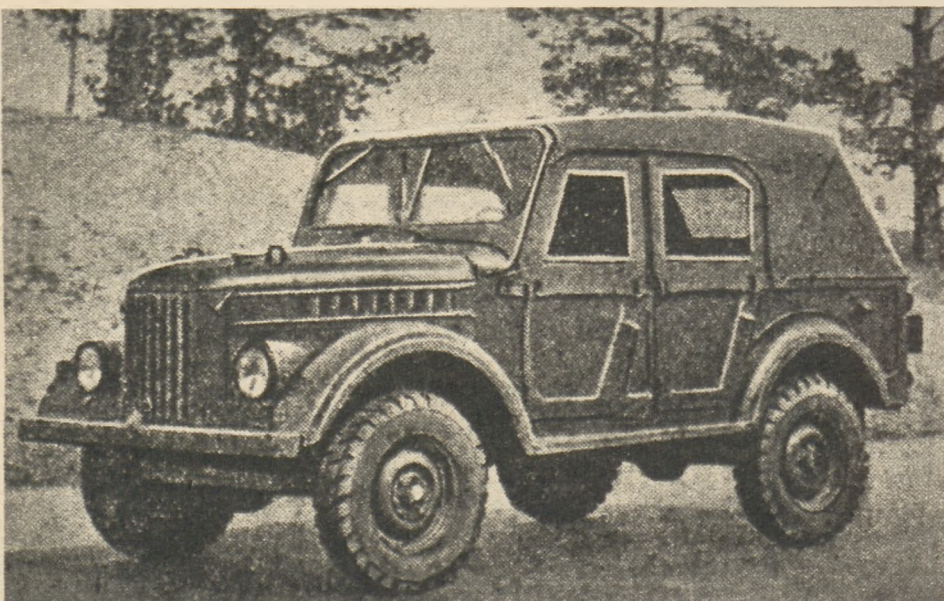
AKTUALNOŚCI RADZIECKIE



Narody ZSRR obchodzą niedawno uroczystości 125 rocznicę urodzin wielkiego rewolucyjnego pisarza i publicysty, Mikołaja Czernyszewskiego. Nasze zdjęcie przedstawia gmach Uniwersytetu w Saratowie, nazwany imieniem Czernyszewskiego (fot. E. Sokołow)



Trzej spadochroniarze N. Szerbinin, W. Rakow i B. Szustrow pobili ostatnio rekord świata w skoku zespołowym do oznaczonego koła z wysokości 1 kilometra. Uzyskali oni odległość średnią od środka oznaczonego koła 26 metrów 79 centymetrów (fot. W. Sidorow)



Zakłady im. Molotowa w mieście Gorki przystąpiły w końcu lipca do seryjnej produkcji nowego typu samochodu GAZ-69, przeznaczonego dla obsługi kolchozów, sowchozów, stacji maszynowo-tractorowych itp. Nowy samochód ma pięć miękkich miejsc, posiada napęd na cztery koła, rozwija szybkość na drogach do 90 km/godz., po bezdrożu — do 45 km/godz. Samochód typu GAZ-69 posiada także przyczepę o nośności 0,5 tony bagażu (fot. W. Wawilow)



Dźwigowy południowego portu Moskwy, komsomolec Aleksander Izbiszczew, uzyskał tytuł najlepszego dźwigowego w Związku Radzieckim. We współzawodnictwie na cześć Festiwalu Młodzieży w Bukareszcie uzyskał Izbiszczew pierwsze miejsce (fot. G. Borisow)



Na styku granic trzech republik: Litwy, Łotwy i Białorusi uruchomiona została elektrownia „Przyjaźń Narodów”, zbudowana z inicjatywy i środkami okolicznych kolchozów: im. Swierdłowa (Łotwa), im. Mickiewicza (Litwa) oraz im. Molotowa (Białoruś)

ŚWIAT KSIĄŻEK

NA ODZYSKANEJ ZIEMI

Z dużym niewątpliwie zainteresowaniem spotka się u nas doskonała powieść czechosłowackiego pisarza, Wacława Rzezacza, pt. „Powrót”^{*)}, której akcja toczy się na przestrzeni pierwszych paru miesięcy po zakończeniu drugiej wojny światowej i treścią swą obejmuje początkowe stadium akcji osiedleńczej na odzyskanych terenach czeskich Sudetów. Temat ten jest tym więcej atrakcyjny dla polskiego czytelnika, że żywo przypomina zbliżony proces w życiu naszego kraju — zagospodarowywanie Ziemi Odzyskanych w identycznych niemal warunkach.

„Powrót” jest, według zapowiedzi pisarza, pierwszą częścią obszernej trylogii, lecz stanowi autonomiczną całość i prezentuje w emocjonującej fabule dramatyczny i pełen dynamiki obraz obejmowania przez Czechosłowaków uwolnionej od hitlerowskiego wroga ziemi. Akcja tej barwnej, a miejscami i awanturniczej powieści — oznaczonej Czechosłowacką Nagrodą Państwową — rozgrywa się w małym miasteczku. Przybywający tu bezpośrednio śladami Armii Czerwonej osiedleńcy czescy zastają nie ziemię wyciągającą do nich ramiona, ale pole trudnych, skomplikowanych i niebezpiecznych walk z wrogiem, który mimo klęski militarnej nie zrezygnował ze swych zabórczych roszczeń. Miejscowi hitlerowcy nie wyrzekają się bowiem myśli o odwecie, przystępują natychmiast do organizowania sabotażów, akcji szpiegowskiej i zbrodniczej dywersji. Czesi muszą więc poniekąd powtórnie zdobywać swoją ziemię, organizować na niej życie od podstaw, umacniać się w terenie i równocześnie gospodarować. Ludzi chętnych do tej pionierskiej walki i pracy nie ma zbyt wielu w tym gorącym okresie. Na niebezpieczny teren przybywają dopiero aktywiści w małych grupkach, a za nimi ciągną szabrownicy i spekulanci, z którymi również trzeba stoczyć walkę. W ten sposób garstka pionierów-aktywistów znalazła się jakoby w kotłach

otoczona jest ze wszystkich stron nieprzejednanymi wrogami i zdradą...

Rzezacz przedstawia te wydarzenia barwnie, w ostrym świetle, opisy prowadzi językiem jednym i obrazowym i postacie swych bohaterów, dodatnich i ujemnych, rysuje nader plastycznie. Sprawia to wszystko, że powieść od pierwszej do ostatniej strony pulsuje konkretnym, realnym życiem, budzi ogromne zainteresowanie i trzyma uwagę czytelnika w stałym napięciu. Wynika to również i z faktu, że autor nie idealizuje bynajmniej początków tego nowego życia na odzyskanej sudeckiej ziemi, że istotnej prawdy nie przesłania welonem deklaracyjnych naseł i nie unika prezentacji tego wszystkiego, co było błędem politycznym odpowiedzialnej administracji. Ale Rzezacz potrafi przy tym pokazać przekonująco i prawdziwie ideowych ludzi, ich rzetelną pracę i szczerą patriotyczne oddanie sprawie. Postać Bagara, głównego bohatera pionierskiej pracy, skupia na sobie uwagę czytelnika, staje mu się bliska i jedna cała jego sympatią. Tak zresztą jak i postać dzielnego Palmego, Niemca-antyfaszysty.

Nie mniejszą siłą wyrazu odznacza się i galeria typów ujemnych, z dywersantką Elzą Mager na czele. Rozgrywając z tymi ludźmi poświęcił Rzezacz wiele pasji, wrogów nowego ładu ukazał w jaskrawo rysujących się sylwetkach i zróżnicował ich na tle obszernej i wielostronnej skali. „Powrót” maluje również realnie przykłady wielkiej pomocy otrzymanej przez lud czechosłowacki od zwycięskiej Armii Czerwonej, przedstawia proces krzepnięcia przyjaźni między obu sojusznikami narodami i wnikliwie ukazuje wewnętrzne przemiany bohaterów książki, następujące w toku rozwijających się działań. Powieść więc, choć obejmuje stosunkowo wąskie ramy czasu, terenu i akcji, daje bogato wypełniony treścią tom, który w twórczości Wacława Rzezacza stał się pozycją przełomową.

Z piórem tego znakomitego pisarza i świetnego stylisty zapoznał się polski czytelnik, gdy przed paru laty wydano u nas jego „Krawędź”. Powieść ta stała jeszcze wprawdzie w rzędzie utworów spod znaku psychologii, ale już zapowiadała przezwyciężenie przez autora nastrojów wątpliwości, które cechowały jego dotychczasową twórczość. „Powrót” kładzie kres temu indywidualistycznemu stosunkowi pisarza do rzeczywistości, jest dziełem realistycznym i optymistycznym, świadczącym o włączeniu się Rzezacza do twórczego budowania nowego życia Czechosłowacji i oddaniu talentu na usługi walki nowego ze starym.

Przekład Marii Erhardtowej stoi na dobrym poziomie literackim, a obszerna przedmowa Andrzeja Sieczkowskiego zapoznaje czytelnika dokładnie z dorobkiem pisarskim Wacława Rzezacza.

ZDZISŁAW ANDRZEJOWSKI

AGNIESZKO, TY MASZ WAŻNE PAPIERY...

Dokończenie ze str. 14

pieri, powiedział matce, że zabiera też kontrakt, w którym sprzedano grunt i zastrzeżono dwa kukuksy dla Wojciecha Wróbla...

Jak to nazwać? Jak nazwać „zarządcę dóbr Jego Eminencji”, który nie tylko nie wypłaca śląskiemu chłopu pieniędzy za kupiony od niego grunt, ale w dodatku zabiera mu (słowo zbyt łagodne) dwa udziały górnicze, wartości — jak czytamy gdzieś indziej — około 56 tys. marek? Czy można przypuścić, że Gebur działał tutaj samodzielnie, bez porozumienia ze swą władzą?...

— Agnieszko, ty masz ważne papiery! A więc, wydaj mi je, niech zasila biskupi skarbiec, niech pomnożą wielokroć kościelny majątek — nie ten duchowy, ale zwyczajny, ziemski majątek, o który dbam tak troskliwie jako jego zarządcą...

Na zagrabionej ziemi, wzbogacony o ukradzione udziały — rozpoczął wrocławski książę-arcybiskup ciągnąć zyski z kopalni, nazwanej jego tytułem... Majątek rósł.

Na terenie „Eminencji” powstaje własny zakład wodociagowy, maszyny odwadniające, elektryczny wentylator... kompresor powietrzny, dyrekcyjne domy... dworzec kopalniany...

A spadkobiercy Wojciecha Wróbla na próżno kołaczą do wrót Kurii Biskupiej, dochodząc swych praw. Mimo tak oczywistych faktów, mimo licznych aktów sądowych, mimo zdumienia i rozgoryczenia wielu katolików śląskich — kopalnia „Eminencja”, wciąż należąca do Jego Eminencji, nie wypłaca pieniędzy ani za grunt, ani za kukuksy. Sama za to rośnie i daje coraz większe dochody. W 1929 r. produkcja dochodzi już do 1 miliona ton. Wskutek niskich zarobków i złych warunków pracy na kopal-

ni coraz to wybuchają strajki — jak pisze T. Klenczar:

„Po zlikwidowaniu strajku można było tylko 2/3 dawnej załogi przyjąć z powrotem do pracy... Przy tej sposobności wskazuje się na to, że ze strajkami miała kopalnia także już dawniej kilkakrotnie do czynienia, a mianowicie w kwietniu i maju 1913 r., w lipcu 1917, a przede wszystkim w roku rewolucji 1919”. Najdłuższy, bo trzytygodniowy strajk był w r. 1924.

W 1929 r. obie instytucje kościelne odstąpiły „za pewien ekwiwalent pieniężny i na pewien czas” swoje prawa Spółce Akcyjnej „Friedenshütte”. Klenczar tak pisze o tym:

„Dotacja kościelna jest zaś tak jak dawniej wyłączną własnością „Eminencji” i Zależa, a czynsz dzierżawny za eksploatowany z tych nadań węgiel stanowić będzie także i w przyszłości poważną część dochodów dotacji. Wobec tego są instytucje kościelne jeszcze nadal o tyle zainteresowane w prosperowaniu kopalni, że dochody ich z czynszu będą tym większe, im większa ilość węgla będzie wydobyta”.

Nie, panie Klenczar! Węgiel z kopalni „Gottwald” — dawniej: „Eminencja” — nie jest i nie będzie już więcej ani poważną, ani niepoważną częścią dochodów Jego Eminencji Księcia Kardynała. Kopalnia „Gottwald” — dawniej, o, już temu bardzo dawno! „Eminencja” — należy dziś do całego polskiego narodu. Służy potrzebom naszej Ludowej Ojczyzny — a nie prywatnym interesom majątkowym tych, których przecież dobra ziemskie nie powinny zbyt interesować. Kopalnia „Gottwald” — jest nasza!

ANNA KLÓDZIŃSKA



Trzej przyjaciele Janowie przy grze w kraty: (od lewej) Jan Brahms, Jan Strauss i Jan Richter znakomity dyrygent.

OSTATNIA DYNASTIA

JERZY WALDORFF

TRUDNO powiedzieć, czy akurat w ten sposób należy tłumaczyć sobie owo zjawisko. Ale fakt jest faktem, że póki artyści w chwalebnej skromności uważali się tylko za pierwszych spośród rzemieślników, póty trwali przy sztuce uparcie — wierząc, iż pokorą a pracą każdy może dorobić się w swym fachu szacunku u ludzi i godziwego kawałka chleba. Ojcowie zdawali dłużej, pędzle i pióra dzieciom, a te z kolei swoim dzieciom i tak sztuka rozwijała się rodzinnymi pokoleniami: w malarstwie — Breughelów, czy Halsów (9 malarzy w trzech generacjach), w muzyce — Bachów, czy Couperinów (przez 200 lat zasiadali kolejno przy organach i klawesynie).

Dziś o artystach tworzących pokoleniami w jednej rodzinie nie ma już prawie mowy. Ostatnia taka wielka dynastia; to byli? — To byli chyba Straussowie w muzyce.

Urzędnik stanu cywilnego zaproteściwałby: przecież nie wszystkich łączyło pokrewieństwo! — W rzeczy samej dzielili się na kilka rodów, lecz wszystko łączyło jedno miasto Wiedeń. A to nie było bez muzycznego znaczenia...

Pierwszy wybił się Strauss Krzysztof (1580 — 1631), z rodziny muzyków od pokoleń służącej dworowi Habsburgów. Miał zaledwie 14 lat, gdy jako muzykant wciągnięty został na listę cesarskich pensjonariuszy, a w roku 1601 siedział już przy organach starego wiedeńskiego kościoła św. Michała. Potem był nadwornym dyrygentem i wreszcie dyrygentem przy katedrze św. Stefana, aż do śmierci. Pensja cesarska w tych czasach nie zawsze była równoznaczna z regularnymi wpływami gotówką, więc Krzysztof parokrotnie — skoro kasa władcy zaczynała świecić pustkami — musiał rzucać swój fach muzyczny dla posady zarządcy cesarskiego folwarku, co mu gwarantowało przynajmniej chleb, masło i jajka z własnego kurnika. Pisał muzykę kościelną i kiedy zmarł, zostawił 16 mszy, będących w stylu ciekawą mieszaniną niemieckiego baroku z włoskim renesansem. Dobre były te msze, a skomponowane zostały może w przeżyciu następnych pokoleń straussowskich, których grzechy lekkością trzeba było z góry odkupić czymś maszyniście.

Następny Strauss Józef (1793 — 1866), syn skrzypka, sam skrzypek i kompozytor, liczył 12 lat, gdy dostał się do orkiestry Opery Wie-

deńskiej. Musiał mieć tęgi talent, prawidłowo rozwijający się i oceniany, skoro potem dyrektorem wielu teatrom operowym Niemiec i Austrii. Skomponował wiele oper, a wśród nich i taką, co zwała się „Sanna w Nowogrodzie”. Jak brzmiała? Jak wyglądała w niej świat Rosji, widziany z łagodnych wzgórz Grinzingu?... — Trudno było by się dowiedzieć. Opery Józefa rozplynęły się w morzu zapomnianych oper, których od roku 1600 skomponowano ponad 42.000, by na scenach dzisiejszych żyło ich... kilkadziesiąt.

Teraz grzmiały trąby archanielskie w rytmie na trzy, żeby obwieścić światu narodziny Jana Straussa (ojca, 1804 — 1849), twórcy epoki walców. Oczarował nimi współczesnych tak bardzo, że mało było głów koronowanych, które fetowano by wspaniałej od tego Jana, syna właścicieli ubogiego szynku na jednym z wiedeńskich przedmieść. Nie mogli przewidzieć melodyjnej drogi, po której ich dziecko zajdzie aż tak wysoko, więc upierali się, żeby zostało... introligatorem. Trzeba było dopiero ucieczki knąbrnego czeladnika od warsztatu, dramatycznych scen w rodzinie i perswazji przyjaciół, zanim starzy Straussowie zdecydowali się oddać Jana do muzycznego terminu. Termin zresztą trwał krótko, bo 21-letni Strauss — prowadzący niewielką orkiestrę taneczną na wiedeńskim przedmieściu Leopoldstadt — był już uznaną sławą. Wśród licznych wielbicieli z Leopoldstadt miał także nieśmiałego młodzieńca, brzydkiego, łysawego, w



RYSZARD STRAUSS

okularach. Młodzieniec też pisał walce, tyle, że były mniej znane, by stać się sławnymi dopiero wówczas, gdy o walcach Jana zapomniano. Brzydki młodzieniec nazywał się — Franciszek Schubert.

Są kariery podobne lawinom, porywające artystę zdumionego własnym losem i bezwonnego wobec tyłu szczęśliwych wydarzeń. — Tak działo się z Janem Straussiem. Po dalszych kilku latach był już kapelmistrzem balów dworskich i pierwszym dyrygentem własnej orkiestry, która liczyła 200 muzyków, gdyż trzeba było dzielić ją na wiele mniejszych zespołów, grających równocześnie w paru miejscach, wobec masy zamówień. Trzeba było także wyjeżdżać za granicę, do Berlina, Amsterdamu,

Brukseli, Paryża, Londynu, gdzie koronującą się królową Wiktoria chciała tańczyć koniecznie pod batutą słynnego wiedeńczyka.

Z walców Jana najbardziej podobały się: „Melodie Dunaju”, „Gabriela”, „Taglioni” (skomponowany na cześć sławnej tancerki), „Lorelei” i „Elektryczne iskry” (na cześć jednego z wielkich wynalazków, które miały ludzkość szybko uszczęśliwić). — Po którymś z rzędu powrocie z Paryża wszechwładny Strauss zakazał wiedeńczykom tańczyć galopu, wprowadzając na jego miejsce modniejszego kadryla. Odtąd — prócz walców — komponował kadryle, polki i marsze, a z tych jeden: „Marsz Radetzky'ego” stał się niemalże drugim hymnem państwowym austriackiej monarchii.

I był w pełni iście królewskiej kariery ten Jan, gdy nagle dopadł go tyfus i zabił w kilka dni, tak jak zabił był, przed ćwierćwieczem, w tymże Wiedniu, jednego z pierwszych wielbicieli Straussa — nieszczęśliwego do śmierci, zapoznanego Franciszka Szuberta. — Zgon Jana Straussa okrzyk Austrii niemalże narodową żałobą. Bo choć wielki Jan zostawił pięćdziesiąt dzieci (dwie córki i trzech synów), to nikt nie spodziewał się, że wśród nich będzie Jan jeszcze większy.

Te pięćdziesiąt dzieci dała sławnemu muzykowi żona, z którą potem się rozwiódł. Po 18 latach pożycia, na skutek niezgodności charakterów. Trzeba przyznać, że dość długo trwało, nim tę niezgodność zauważyli... — Wśród dzieci były dwie córki muzycznie nieważne i trzech synów: Jan, Józef oraz Edward.

Może powodem stały się ówczesne trudności komunikacyjne z dylżansami, może coś innego — nie wiadomo; dość, że Jan Strauss najsurowiej zakazał synom, by szli jego śladem, po drodze kariery muzycznej. I znowu powtórzyło się to samo: Jan-syn musiał zaczynać jako urzędnik bankowy, Józef jako adwokat, a Edward kształcił się w gimnazjum klasycznym do chwili kiedy zmarł Jan-ojciec, po czym trzech synowie oddali się natychmiast i wyłącznie muzyce.

Jan Strauss (syn 1825—1899) najpierw wydał zbiorowo dzieła ojca, w 7 tomach, które objęły 251 pozycji, dziś niestety już martwych, choć przed wiekiem porywających świat cały do tańca. Także i sławna orkiestra starszego Jana przypadła w sukcesji młodszemu. Po kilkunastu latach wszakże oddał ją braciom chcąc poświecić się bez przeszkód kompozycji.

Ale w tych latach dyrygowania miał dość czasu, żeby do walców ojca dodać własnych, nowych... ponad 400! „Nad pięknym, modnym Dunajem”, „Opowieść lasku wiedeńskiego”, „Przebudzenie się wiosny”, „Wiedeńska krew”, „Życie artysty” — to zaledwie kilka tytułów niezliczonych perełek tanecznych Jana — syna, do dziś żywych i zachwycających.

Lata dyrygowania były też latami podróży z orkiestrą, tym łatwiejszych, że Europę osnuła tymczasem gęsta pajęczyna szyn, po których toczyły się coraz szybsze pociągi. Więc i cele podróży mogły być odleglejsze: z jednej strony Petersburg i po drodze Warszawa, jeszcze tętniąca pełnią życia przed styczniowym powstaniem; z drugiej strony — po skoku przez ocean — Nowy Jork i inne wielkie miasta USA.

Kultura Stanów już wtedy miała bardzo specyficzne oblicze, toteż przybyłemu Straussowi impresario koncertowi oświadczyli z zachwytem, że będzie miał sposobność dokonać czegoś niezwykłego „wielkiego”, na co w starej Europie z pewnością nie mógłby sobie pozwolić: oto czeka chór z 20.000 osób, który pod batutą kompozytora odśpiewa walc „Nad pięknym, modnym Dunajem”! Strauss, dobry muzyk, był owym monstrualnym pomysłem przerażony, ale prasa imprezę zdążyła rozreklamować, więc cóż miał zrobić?... — W liście do rodziny tak to opisał: „O artystycznym wykonaniu nie było żadnej mowy. W pewnej chwili huknął strzał armatni — dyskretny znak dla naszej dwudziestotysięcznej gromadki, żebyśmy zaczęli. Skinąłem batutą, moich stu poddyrygentów gest powtórzyło jak tylko mogło najszybciej i tak się rozpoczęło to piękne rykowisko”.

Po oddaniu orkiestry braciom, Jan Strauss wziął się do pisania operetek — korony swojej twórczości. Było ich kilkanaście, a wśród nich dwie: „Zemsta nietoperza” i „Baron cygański”, które stanęły i stoją po dziś obok najwybitniejszych dzieł muzyki scenicznej. Niech was nie myli ich lekkość! Sztuki nie waży się na kilogramy...

Jednym z wielu zapalonych wielbicieli muzyki Straussa był „ciężki” kompozy-

tor Jan Brahms. W czasie pewnego balu, na prośbę o autograf Brahms odnotował na wachlarzu molestującej damy kilka taktów walca z „Zemsty nietoperza” i podpisał się: „Jan, ale niestety nie Strauss”.

Następca Jana w kierowaniu rodzinną orkiestrą, brat Józef Strauss (1827 — 1870) był słabego zdrowia, lecz to nie przeszkodziło mu spisać 283 kompozycje. Był też w Warszawie, ale już po powstaniu styczniowym, w czasach szalejącego carskiego terroru, co w skutkach przypłacił życiem. Kiedy jakiegoś nocy panowie oficerowie przysłali go niego, a Strauss odmówił stawienia się z orkiestrą na ten rozkaz, pijani żołdacy racyli osobiście przybyć do hotelu i stłukli muzyka tak dotkliwie, że ten w kilka dni po powrocie do Wiednia zmarł.

Najmłodszy z braci, Edward Strauss (1835 — 1916) był autorem 318 różnych tańców, ale choć ceniony i popularny, zostawił po sobie smutną pamięć. On to bowiem w roku 1902 rozwiązał i pogrzał sławną orkiestrę rodzinną, po 78 latach jej pełnego chwały istnienia. — Pomocniczym dyrygentem przy Edwardzie-grabarzu był jego syn Jan Strauss (1866 — zmarły nie wiadomo gdzie i kiedy). I na nim wygasła najpromienniejsza z gałęzi straussowskiego drzewa, obsypana walcami jak kwiatami.

Raczej tylko dla zachowania chronologicznego ładu i pełni, wspomnieć teraz wypada o trzech Straussach pomniejszych znaczenia:

Ludwik Strauss (1835 — 1899) urodził się w Preszburgu, zmarł w Cambridge, ale konserwatorium skończył w Wiedniu. Był solidnym skrzypkiem, jednym z takich, co nawet jeżdżą z koncertami i dają ludziom dużo zadowolenia, ale nigdy nie wybijają się ponad granicę przeciętności i nikomu do głowy nie przyjdzie wymienić ich nazwiska obok głośnych wirtuozów. Drugą połowę życia Ludwik Strauss spędził w Anglii, gdzie dorobił się tytułu „członka prywatnej orkiestry Królowej” i... artrytyzmu. I dopiero wtedy, gdy był powykrecany przez tę chorobę, co zmusiło go do zarzucenia gry, dostał od wielbiciela swego talentu —

piękne skrzypce Stradivarius. Taki przykut do fotela, patrzący z żalością na cenny instrument, niknie nam ów Strauss za właśnie zatraskującymi się drzwiami wieku dziełnastego.

Edmund von Strauss (1869 — 1919) — wychowany w Wiedniu, później był kapelmistrzem kolejno paru Oper w Niemczech i kompozytorem miernych pieśni. Jedyny spośród Straussów miał szlachectwo i swym „von” odradzał się od „mieszczańskiej hołoty” o tym samym nazwisku. Słusznie, bo coż mogło go z nimi łączyć?... — On posiadał tytuł szlachecki, a oni tylko talent.

Franciszek Strauss (1822 — 1905) jedyny spośród Straussów nie miał, jak się zdaje, nic wspólnego z Wiedniem. Urodził się, żył i umarł w Monachium, gdzie był cenionym waltornistą. Kiedy Wagnerowi nie udało się solo na rogu w „Zygfydzie”, zwrócił się do Franciszka Straussa, aby ten solo poprawił i skrócił. Lecz nie przez owo solo dostał się Franciszek do historii. Jego najwybitniejszym czynem muzycznym było spłodzenie Ryszarda Straussa (1864 — 1949), jednego z największych muzyków świata — tych niezliczonych, co, podobni słupom rozstajnym, wskazują muzyce, na jakie nowe drogi ma skręcić.

Najpełniej świeżym i doskonałym dziełem twórczości Ryszarda Straussa były jego poematy symfoniczne: „Don Juan”, „Śmierć i wyzwolenie”, „Dyl Sowizdrzał”, „Życie bohatera”. Przejął ten gatunek muzyczny w spadku po Liszcie, ale także bardzo rozszerzył go i udoskonalili! — Podczas gdy Liszt w swoich poematach oddawał środkami muzycznymi raczej w sposób ogólny nastroje, charaktery i sytuacje — Strauss dawał tak precyzyjne obrazy dźwiękowe, że kiedy wielki polski tancerz Niżyński chciał utanczyć „Dyla Sowizdrza”, znalazł w partyturze niemalże dookładne libretto, spisane muzycznymi tematami pełnymi — rzecz też nowa! — ostrego, satyrycznego wyrazu. Strauss bowiem, choć skąpy w teoretyzowaniu, zdawał się mieć wyrobiony sąd o zadaniach muzyki. Nie dzielił twórczości muzycznej na abstrakcyjną i programową, lecz na — dobrą i złą. A dobra muzyka to była — jego zdaniem — tylko taka, która jak najwięcej i jak najzrozumialej wyrażała.

Osobnym przyczynkiem do trwałej sławy Ryszarda Straussa stała się jego niezwykle oryginalna i świetna orkiestracja. Nawet dziś, po bajecznych fajerwerkach orkiestr Strawińskiego i Ravela, paleta dźwiękowa Straussa nie spowiała i nadal pełna jest świeżych zestawień barwnych i blasku. Następne pokolenia kompozytorów uczyły się z partytur Straussa jak z podręczni-

NA BOŃSKIEJ KARUZELI WYBORCZEJ

MARIAN PODKOWIŃSKI

6 września b.r. odbędą się w zachodnich Niemczech nowe wybory do Bundestagu. Ponad 30 milionów ludzi jest uprawnionych do wyboru 434 deputowanych. Przewodzona przez koalicję rządową nowa ordynacja wyborcza przewiduje wybór połowy deputowanych zwykłą większością głosów w głosowaniu bezpośrednim, przeprowadzonym w 212 okręgach. Pozostała ilość uzyska mandaty z list poszczególnych krajów (provincji) w wyborach proporcjonalnych. Z uwagi na podwójne głosowanie (każdy wyborca posiada dwa głosy) system wyborczy jest skomplikowany. Ale o to właśnie chodziło Adenauerowi, podobnie jak potrzebne mu jest wprowadzenie tzw. 5-procentowej klauzuli. Partia, która w skali krajowej nie uzyska 5 procent głosów, (1,5 miliona) traci wszystkie głosy na rzecz ogólnej puli. W ten sposób wiele mniejszych stronnictw nie wejdzie w ogóle do parlamentu, a oddane na nie głosy przypadną w udziale koalicji Adenauera oraz SPD, która również poparta nową, antydemokratyczną ordynacją wyborczą.

Drugą szykaną ordynacji wyborczej jest postanowienie, iż partie polityczne, które zgłosiły kandydatów, muszą dostarczyć 500 podpisów obywateli danego okręgu, popierających kandydaturę deputowanego. Postanowienie to gwałci zasadę tajności wyborów, gdyż każda partia, która chciałaby uczestniczyć w wyborach we wszystkich 242 okręgach wyborczych, musiałaby zebrać 121 tysięcy podpisów,

ujawniając poglądy polityczne swoich stronników. Ma to szczególne znaczenie jeśli chodzi o stronnictwa opozycyjne, a zwłaszcza KPD, przeciwko której toczy się ostra kampania przy stosowaniu łcie gestapowskich metod.

Dodatkowym utrudnieniem — oczywiście również dla partii opozycyjnych — jest obowiązek poświadczenia przez burmistrzów wiarygodności podpisów obywatelskich na wnioskach partii wyborczych. Otwiera się tu nowe pole do nadużyć i szynkan, zwłaszcza, iż termin zbierania tak wielkiej ilości podpisów i poświadczenia ich u burmistrzów jest bardzo krótki. Ale nie tylko techniczne trudności sprawiają kłopoty opozycyjnym i antyadenauerowskim partiom.

Koalicja bońska poza nową ordynacją wyborczą posiada jeszcze inne „atuty”: terror policyjny i olbrzymie fundusze wyborcze. Minister policji Lehr poprzez swoich landratów decyduje o tym, kto może, a komu nie wolno publicznie przemawiać. Kto może rozklejać plakaty, a komu zdziela się je w nocy. Oplacana przez Bonn organizacja młodzieżowa „Wikinger” zajmuje się ochroną zebrań koalicji Adenauera i rozbijaniem wieców partii opozycyjnych. Bankier koloński, Pferdmenges, skarbnik zarządu CDU, przyjaciel kardynała Fringsa i Adenauera, zarządza funduszem wyborczym CDU. Tam, gdzie nie pomagają perswazje i paki, trafiają często „złote kule”. Trzonem liczy przecież 3 miliony ludzi bezrobotnych...

KTO staje do wyborów?

Oczywiście koalicja bońska — tj. chadacy (CDU), tzw. „wolni demokraci” (FDP), którzy są czystej wody neohitlerowcami, i „Deutsche Partei” (DP), która jawnie popiera hitlerowski program. Wraz z blokiem Adenauera idą rozmaite reakcyjne i neohitlerowskie ugrupowania, jak BHE — związek przesiedleńców ze wschodu (kieruje nimi Waldemar Kraft, SS-mann z Poznania), „Nationale Sammlung” (sfuzjowane grupki b. członków partii hitlerowskiej), „Deutsche Reichspartei” i „Deutsche Aufbaugemeinschaft”.

Najsilniejsza po CDU — jest SPD. Jest ona w obecnych wyborach najgroźniejszym konkurentem Adenauera i cała kampania wyborcza tej partii prowadzona jest pod hasłem: „SPD dojrzała do rządzenia krajem”. Dojrzałość ta przejawia się m. in. w metodach łowienia głosów, które w niczym nie ustępują adenauerowskiemu chwytom wyborczym. SPD pragnąc pozyskać sobie głosy byłych hitlerowskich żołnierzy, złożyła oficjalną deklarację na łamach partyjnego biuletynu „Das Kommende Deutschland” (8 lipca br.), w którym oświadcza z całym cynizmem, że „w żadnym wypadku nie istnieją jakiegóżby zasadnicze nieporozumienia między SPD a związkami b. żołnierzy hitlerowskich (Soldatenbundów)...”

Opportunizm i renegatom z prawicowego kierownictwa SPD, rozbijaczom ruchu robotniczego, prawdziwie narodowy program przeciwstawiają partię i stronnictwa walczące o pokojowe zjednoczenie Niemiec, o polepszenie bytu mas pracujących, o pokojowe współżycie między narodami. Komunistyczna Partia Niemiec (KPD), przeciwko której kierowane są wszystkie ataki neohitlerowskich stronnictw, występuje w swoim programie wyborczym o rząd koalicyjny patriotów niemieckich, który by zerwał z polityką remilitaryzacji i wojny. Walczy o szeroki front uczciwych Niemców, pragnących zawarcia traktatu pokojowego i wycofania wojsk okupacyjnych. Walczy o pełne prawa i swobody demokratyczne dla ludu. O rozwój niemieckiej kultury i sztuki, którą Adenauer zastępuje „amerykańskim ctyłem życia”. KPD domaga się praw do nauki

General Student, który w czasie wojny był dowódcą hitlerowskich spadochroniarzy, przemawiał ostatnio do swych byłych podkomendnych na wiecu przedwyborczym w Duesseldorf.



i pracy dla młodzieży, którą Bonn pragnie przekształcić w „mięso armatnie”.

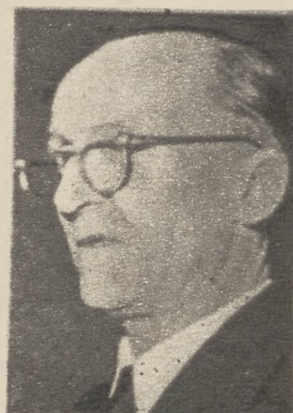
Obok KPD, w kampanii wyborczej, przeciwko kłice bońskiej występuje szereg postępowych stronnictw mieszczańskich, które potępiając remilitaryzację i próby przekształcenia zachodnich Niemiec w bazę wypadową przeciwko krajom obozu pokoju, domagają się zjednoczenia Niemiec i polityki pokojowej. Wśród tych stronnictw wymienić należy „Związek Niemców” b. kanclerza weimarskiego dr Wirtha i b. nadburmistrza miasta Muenchen-Gladbach, Wilhelma Elfesa, „GVP” (ogólnoniemiecka partia ludowa) b. ministra Heinemanna i „Freie Soziale Union”. Obecnie, na skutek wprowadzenia klauzuli 5-procentowej, ugrupowania te na konferencji w Mannheimie postanowiły nie występować z własnymi listami, ale wezwać swoich zwolenników do głosowania na GVP Heinemanna. Warto zaznaczyć, że stronnictwo Heinemanna, który w 1951 roku ustąpił z rządu Adenauera na znak protestu przeciwko tajnej remilitaryzacji, już wtedy prowadzonej przez boński reżim, cieszył się poparciem znacznej części kościoła ewangelickiego z pastorem Martinem Niemöllerem i Mochalskim na czele.

Kampania wyborcza jest w pełnym toku. Największą aktywność (w sensie hitlerowskich burd i awantur) przejawiają oczywiście rozmaite militarystyczne i „wielkoniemieckie” ugrupowania, przeważnie finansowane ze skatuli Adenauera. Robią one „ruch w interesie”, terroryzują — szczególnie w małych miastach i po wsiach — ludność, napałują na lokale opozycyjnych partii, szantażują wyborców, urządzają capstrzyki i wiece b. żołnierzy Wehrmachtu, grożą represjami, słowem — usiłują ulicy niemieckiej nadać ten charakter, jaki miała ona podczas niesławnych dni weimarskich wyborów do Reichstagu. Godne są zanotowania takie np. kwiatki z neohitlerowskiej łączki:

1. W Hanowerze odbył się generalny zjazd wszystkich organizacji kombatanckich — t.zw. Soldatenbundów. Miało to być wrażliwe jakiegóżby wojennego biwaku. Na ulicach ludzie w mundurach Wehrmachtu ze wszystkimi hitlerowskimi orderami. W 30 hotelach zainstalowane były kwatery rozmaitych „tradycyjnych” dywizji i pułków. W piwnicach hitlerowskie generały układowali „strategiczne” plany kampanii wyborczej pod hasłem: „A więc — jesteśmy znowu potrzebni...” Obok takich generałów jak Student, Herr, Matzky, admirałów jak: Hansen, Ruge (adulant Doenitz, ostatniego kanclerza III Rzeszy po śmierci Hitlera) — do Hanoweru przybyła cała śmietanka reżimu bońskiego. Prezydent Bundestagu Ehlers, wicekanclerz Bluecher, minister bez teki Hellwege, minister Szlezewig Walde, Kraft, minister rządu Dolnej Saksonii (której stolicą jest Hanower), Albertz (SPD) i szereg lokalnych osobistości. Aby nie było żadnych złudzeń co do charakteru przyszłego Wehrmachtu, w debacie zjazdowej zabrał również głos osławiony dowódca dywizji Waffen-SS „Wikinger”, Herbert Gille. Oświadczył on przy aplauzie zebranych, że „przemawianie w imieniu Waffen-SS jest wielkim honorem” ponieważ 300 tysięcy SS-mannów „padło na wojnie w obronie Europy”.

Zjazd poparł oczywiście politykę Adenauera — „opiekuna żołnierzy” i — dodajmy od siebie — zbrodniarzy wojennych, których coraz mniej znajduje się w więzieniu, a coraz więcej w urzędzie Blanka, czyli przyszłym ministerstwie wojny.

2. Czy istnieje partia hitlerowska w Trzonie? W odróżnieniu od neohitlerowskich organizacji, tj. takich, które — przy-



Hitlerowscy generałowie, kandydujący z ramienia adenauerowskiej koalicji w nadchodzących wyborach do Bundestagu. Od lewej: Schweppenburg, Stumpf, Manteuffel.

musząc w mniejszym lub większym stopniu program Hitlera — odrzucają zarówno zewnętrzne dekoracje NSDAP, jak i wystrzegają się udziału czołowych działaczy w organizacjach partyjnych — w zachodnich Niemczech mamy obecnie partię jawnie hitlerowską. Jest nią „Nationale Sammlung”, która powstała w połowie lipca br. z fuzji rozmaitych grup hitlerowskich, akceptujących zarówno program NSDAP jak i starych hitlerowców w klerownictwie.

Pierwszy kongres tej partii — t.zw. „Reichstag” — odbył się w Mannheimie przy udziale 400 delegatów z całego kraju. Kongres zakończono hasłem: „Wybiła godzina dla wojennego pokolenia Niemiec! Heil Deutschland!” Z ramienia Bundestagu w kongresie wzięli udział dwaj deputowani — Hedler i Goetzendorf.

3. Proamerykański „Der Tagesspiegel”, judujący przeciwko wszystkiemu, co postępowe i demokratyczne w Niemczech, zainaugurował sezon wyborczy... artykułem Otto Strassera, jednego z twórców NSDAP, który później na tle osobistych nieporozumień z Hitlerem wystąpił z partii. W swoim programie Strasser domaga się obecnie „odrodzenia Niemiec” w duchu „niemieckiego socjalizmu”, co po prostu oznacza — powrót do hitlerizmu bez Hitlera.

4. Pośród licznych zjazdów, które organizowane są przez bońską klikę polawiaczy głosów za wszelką cenę, wyróżniał się niewątpliwie zjazd „Związku hitlerowców internowanych w obozach” (po wojnie). Pod hasłem „Mój ojciec był w partii i mama też” (Mein Vater war in der Partei, meine Mutter war auch dabei), 3.500 członków NSDAP, których internowano za zbrodnie wojenne, następnie zaś uwolniono, przemarszerowało ulicami miasteczka Fallingsbostel, gdzie dawniej mieścił się ich obóz. Demonstranci domagali się od rządu w Bonn odszkodowania za „czas utracony w obozie”.

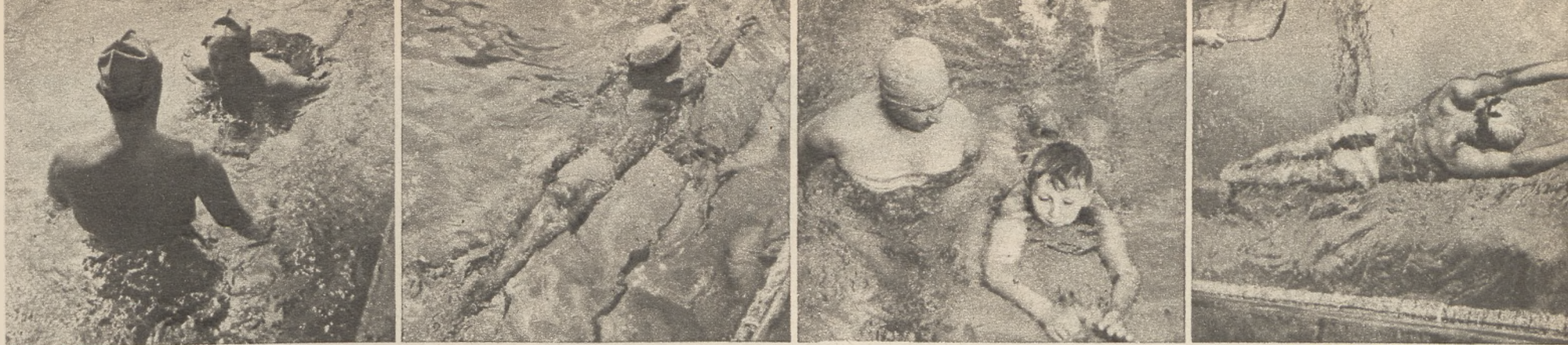
Internowani hitlerowcy wiedzą, że mogą liczyć na pomoc finansową Bonn, skoro np. generałowie i wyżsi urzędnicy hitlerowscy otrzymują już emerytalne zasiłki. Np. Kesselring i Manstein otrzymują miesięcznie 2.000 marek „emerytury”. Zarobek robotnika wynosi — 250 marek!

Klika Adenauera nie żałuje środków finansowych ani wysiłków propagandowych, jeśli chodzi o zapewnienie sobie zwycięstwa w nowym Bundestagu. Zwycięstwo to ma Adenauerowi ułatwić dalszą faszyzację zachodnich Niemiec, pogłębienie podziału Niemiec, wzmoczenie remilitaryzacji i utworzenie Wehrmachtu. Wie dzisiaj o tym nie tylko Europa, wiedzą nie tylko sąsiedzi Niemiec, ale i poważna część społeczeństwa zachodnich Niemiec.

I dlatego — mimo policyjnego terroru i korupcji, mimo faworyzowania hitlerowskich szumowin i neofaszystowskiego chuligaństwa, przed Adenauerem i jego poplecznikami piętrzą się coraz nowe trudności. Trudności, które narastać będą w miarę jak w toku kampanii wyborczej demaskowane będą coraz wyraźniej istotne cele niemieckiego imperializmu. Nie ulega bowiem wątpliwości, że dążenie narodu niemieckiego do jedności stanowić będzie coraz silniejszą przeszkodę dla realizacji planów bońskiej mafii wojennej.

Prezydent Bundestagu, Ehlers (drugi od prawej), w asyście hitlerowskich generałów na zjeździe Soldatenbundów w Hanowerze. Miasto wyglądało jak biwak.





UCZMY SIĘ PŁYWAĆ

Fot: K. JAROCHOWSKI



Czasem propozycja nauki spotyka się ze „przeciwną” osobą zainteresowaną...

Niekiedy trzeba nawet użyć podstępów — inaczej „pacjent” do wody nie wejdzie. Nie radzimy jednak stosować tej metody na wodzie głębokiej.

Sezon letni dobiega końca i właśnie teraz pozwalamy sobie, Czytelniku, zadać Ci niedyskretne pytanie: czy umiesz pływać? Jeśli tak, przepraszamy Cię za to pytanie nie na miejscu i równocześnie przesyłamy wyrazy uznania. Jeśli nie, oświadczamy Ci tonem kategorycznym, że już najwyższy czas, abyś posiadał tę umiejętność, nie tak znowu trudną do opanowania, a jakże przyjemną i, co najważniejsze, pożyteczną.

A więc: korzystając z ostatnich dni lata przystąp niezwłocznie do nauki pływania i powiedz sobie twardo, że do września przepłyniesz swobodnie 20 metrów; nie tak może szybko jak Gremłowski, ale to już trudno — nie od razu Kraków zbudowano...

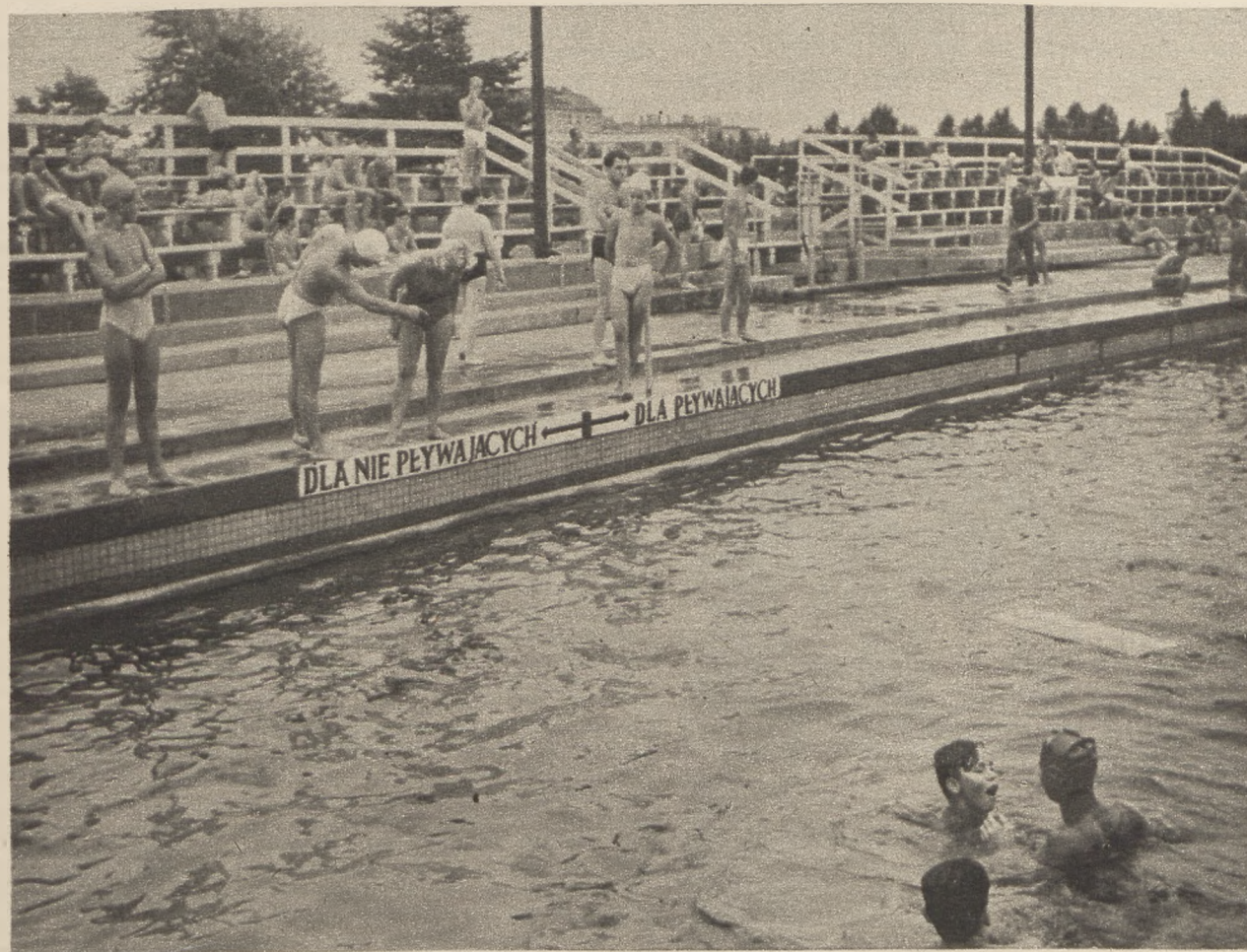
Otóż, po pierwsze: zabierz strój kąpielowy i udaj się nad Wisłę, Odrę, czy Wartę, na plażę morską, na basen lub na jakąkolwiek inną wodę — bez tego pływać się nie nauczysz...

Po drugie: zgłoś się do instruktora pływania, a w braku takowego poproś kogoś ze znajomych, pływających dobrze i obdarzonych zdolnościami pedagogicznymi.

Po trzecie: zwalcz w sobie lęk przed wodą, bo w przeciwnym wypadku nie pomoże Ci nawet stu najlepszych instruktorów.

Po czwarte: traktuj całą naukę poważnie, a nie jako dobrą zabawę (zresztą, gdy pierwszy raz napijesz się wody — a trudno właściwie tego uniknąć podczas nauki — sam na pewno bardzo spoważniejesz).

A oto perspektywa przyszłości: może już za rok tak opanujesz sztukę pływania i skoków, że jakieś salto z najwyższego poziomu wieży nie będzie dla Ciebie przedstawiało żadnej trudności... A więc do nauki.



Przed wszystkim trzeba zapoznać się dobrze z terenem nauki. Najlepiej, gdy basen posiada ściśle określone miejsce dla nieumiejących pływać. Wtedy, upewniwszy się, że na tak płytkiej wodzie na pewno nic Cię nieprzyjemnego nie spotka, śmiało przystępujesz do poważnych ćwiczeń. Nie obawiaj się również drwających uśmiechów publiczności: każdy z tych „szyderców” także kiedyś uczył się pływania, albo... sam jeszcze nie umie



GORĄCA WIEŚ

AMBINANITELO

15.

GÓRA BENIOWSKIEGO

W AMBINANITELO — tak samo, jak w innych wioskach Madagaskaru, jak we wszystkich w ogóle wioskach na kuli ziemskiej — przez długie dni nie dzieje się nic nadzwyczajnego, senne życie sączy się niemrawo wśród ryżowych pól, trzcinowych chat i żaru słońca, aż oto nagle sprzed którejś chałupy rozlegną się dzikie, okropne krzyki i wstrząsna dolina. Myślisz: zabijają kogoś! Pędzisz na ratunek.

Od dwóch tygodni stary Tamasu, pochodzący z wysp Komoryjskich między Madagaskarem a Afryką, leżał beznadziejnie chory i gorączkował. Teraz wywłókł go brutalnie z łoża i znęca się nad nim rozbewstwiony Makoa Berandro, potomek dawnych afrykańskich niewolników. Jakkolwiek Tamasu i Berandro są pochodzenia obcego, dawno już mieszkańcy Ambinanitelu uważają ich za swoich. Obydwaj ustosunkowali się do nas przychylnie i należą do gości odwiedzających mnie dla pogawędki.

Dziś nie poznaję statecznego zazwyczaj i rozumnego Berandry. Oszalał. Chorego Tamasu ciągnie za nogi po ziemi, wymyśla mu od psów, szarpie jego ciało, kopie i zachłystuje się szyderczym śmiechem. I nie poznaję również łagodnych mieszkańców wsi: wszyscy patrzą na to pastwienie z tępym spokojem, nieledwie z uśmiechem. Nikt nie wkracza, nikt nie broni. Malgaska wieś zaskakuje mnie nowym, zagadkowym obliczem.

— Dokąd go wleciesz, Berandro? Stójże!! — wołam oburzony.

Lecz na to najniespodziewaniej okrutnika bierze w obronę sam sponiewierany Tamasu. Błaga mnie zdyszczanym głosem:

— O vazaho, nie przeszkadzaj mu! Puść nas, puść!...

Także mieszkańcy wsi, obecni przy tym, dają mi rękom znaki, żebym nie mieszał się do chryi. Więc zły Berandro wlecze gorączkującego dalej do pobliskiej rzeki jak strzęp miecha i strąca go do wody. Wieś przyjmuje to z ulgą, gorzej: cieszy się. Berandro rzuca na chorego jeszcze jakieś wymyślne obelgi i odchodzi zadowolony, jak ktoś, kto spełnił swój obowiązek. Powoli rwetes ustaje, ludzie się uspokajają, a rodzina wreszcie zajmuje się chorym i wyciąga go z wody. Dziwne to zajście kończy się jeszcze dziwniej: chory Tamasu

wbrew moim domniemaniom nie umiera, lecz przeciwnie, powraca szybko do zdrowia, i już po kilku dniach spotykam go spacerującego swobodnie po osiedlu. Czary? Czary i nie czary, natomiast straszliwa potęga wiary w stare, niezwykle podania. W jego dzieje wtajemnicza mnie później sam Berandro, znowu spokojny, miły, rozważny jak dawniej mieszkaniowiec cichej wsi.

Od niepamiętnych czasów mieszkają na wyspach Komoryjskich oprócz Arabów dwa szczepy: właściwi Komorojczycy, lud podobny do madagaskarskich Malgaszów, i Makoa, Murzyni pochodzenia afrykańskiego. Otóż ciemnoskórzy Makoa odznaczali się zawsze sprytem i słynęli jako czarownicy i zaklinacze. Toteż, gdy liczni i okrutni piraci zaczęli napływać z morza i grabić bogactwa Komorów, Komorojczycy błagali o pomoc czarowników Makoa. Tychże czary odniosły w istocie zdumiewający skutek: choroby zdziesiątkowały napastników, a burze rozniosły do szczętu ich łodzie.

Niestety, czary to kosztowna rzecz, a czarowników trzeba hojnie wynagradzać. Gdy zubożali Komorojczycy nie mieli czym wywiązać się ze swych przyrzeczeń, stanęła między nimi a szczepem Makoa taka umowa uroczysta i ważna po wsze czasy i na wsze pokolenia: kiedykolwiek któryś Makoa zechce, może bez sprzeciwu zabrać każdemu napotkanemu Komorojczykowi część jego mienia — więc kūrę, świnię, krowę, nawet dziecko i może mu również wymyślać i zadawać razy. Chociaż wiele pokoleń od tego czasu minęło, Komorojczycy do dziś dnia szanują tę umowę, nawet tu na Madagaskarze, bo wiedzą, że tkwi w świętej woli ojców jakaś potężna, ukryta siła: obity i splugawiony przez Makoe chory Komorojczyk nie umrze, lecz zawsze wyzdrowieje.

— Więc rozumiesz, vazaho — kończy Berandro swe opowiadanie — Tamasu pochodzi od Komorojczyków, ja od Makoa. Sponiewierałem chorego Tamasu, co podziało jak silne lekarstwo: Tamasu wyzdrowiał. Dlatego czcimy wolę ojców, pamiętamy pieczołowicie każdy szczegół ich dziejów...

— A czy pamiętasz — pytam zniecierpliwionego Berandry — jacy to byli ongiś wrogowie, którzy tak okrutnie nawiedzali wasze wyspy Komoryjskie?...

Berandro się zasepia: nie, tego nie pamięta.

— Wspomniałeś — mówię — że burze rozniosły łodzie napastników.



W tych dniach zjawia się w Ambinanitelu jeszcze jedna niespokojna i niepokojąca istota... lekarz Rankombe.

— Tak opowiadał mi mój pradziadek, gdy byłem jeszcze chłopcem.

— Więc były to łodzie, a nie wielkie statki, i z pewnością liczne łodzie.

— Nie inaczej.

— I rzeczywiście nie wiesz, kto wtedy często napadał na Komory?

Berandro jest żywą księgą dawnych dziejów, lecz tego nie wie. I również nie wie mój stary przyjaciel Dżinarivelo, znawca dziejów szczepu Betsimisaraka. A on przecież powinienby wiedzieć: byli to jego własni przodkowie, wojownicy Betsimisaraka i oni to urządzali łupieskie wyprawy na wyspy Komoryjskie. Działo się to w czasie od końca XVIII wieku aż do roku 1816. Prawie co rok wyruszały na morze malgaskie pirogi; poczynając od Tamatawy zbierały wszędzie po drodze wojowników i wzdłuż wybrzeży Madagaskaru płynęły najpierw na północ, potem na brzeg zachodni, skąd przy korzystnych wiatrach przerzucały się na Komory. Były to wyprawy pełne zuchwałego bohaterstwa i chwały, zdobywały wiele łupu, ponosiły także klęski, doznawały burz i moru, lecz właściwy kres położyło im dopiero zjednoczenie trzech potęg: Anglii, sułtana Zanzibaru i króla Radamy w Tananarywie.

— Skąd to wszystko wiesz? pytają mnie zdziwieni Berandro i Dżinarivelo.

— Wyczytałem to w książkach w Tananarywie. Lecz księgi te zawierają jeszcze ciekawsze wieści: nie byłoby zuchwałych wypraw Betsimisaraków, nie byłoby zatem biedy Komorów ani dziwnej umowy między Komorojczykami a Makoa, ani twej, Berandro, magicznej mocy uzdrawiania, gdyby nie jeden wielki mąż i wojownik, ten sam, o którym wyście tak haniebnie zapomnieli, a który na tej tu górze założył swój fort Augusta, słowem, gdyby nie było ojca wszystkich tych wydarzeń, Beniowskiego...

Trudno opisać napięcie, z jakim mych słów, rozmyślnie mówionych uroczystym tonem, słuchają dwaj brązowi przyjaciele: po raz pierwszy czują z niepokojem, że nie znają dostatecznie dziejów własnego narodu i że mogą utracić miarę wśród swoich.

— Mów nam dokładniej o Beniowskim! — proszą.

Gdy Beniowski przyjechał po raz drugi na Madagaskar, tym razem już jako amfansakabe, król Malgaszów, wylądował wraz ze swymi przyjaciółmi na północno-zachodnim wybrzeżu wyspy. Lecz w nocy po wylądowaniu doznał sromotnej zdrady: kapitan jego statku podniósł cichaczem kotwicę i uciekł na zachód, w stronę Komorów. Beniowski wysłał pospiesznie na pirodzie dwóch białych towarzyszy z kilkunastoma Malgaszami do swego przyjaciela, sułtana Anjouanu na Komorach, z prośbą o zatrzymanie uciekiniera, lecz pościg przyszedł za późno. Statek już odpłynął. Natomiast Malgasz, biorący udział w pościgu, po raz pierwszy ujrzeli wyspy Komory i zdumieli się ich bogactwem, a gdy wrócili na Madagaskar, opowiadania ich wzbudziły wielkie podniecenie i żądze grabieży. Tak więc Beniowski, mimo swej woli, wskazał Malgaszom drogę na Komory i po jego rychłej śmierci rozpoczęły się owe osławione wyprawy, trwające trzydzieści lat. Bez Beniowskiego nie byłoby tych wypraw ani ich brzemiennych skutków...

Dwaj starcy słuchają mnie z rosnącym przejęciem. Szumi i kotkuje im w głowach. Przeszłość rozszerza się cudownie, ich własna, ważna, malgaska przeszłość. W jej mrokach, obok cieni ich własnych przodków majaczą nagle zarysy jakiegoś mocnego człowieka, już nie obcego i już nie obojętnego, skoro prze-

Znęca się nad nim rozbewstwiony Makoa Berandro, potomek dawnych afrykańskich niewolników.



21

TEATR ŚWIAT

Dyrekcja i tekst: JAN SZELĄG
Dekoracje i kostiumy: CHARLIE
Muzyka: LEONCAVALLO

ŚMIEJ SIĘ PAJACU

Wstrząsający fragment wielkiego widowiska, które ma zaszczyt przedstawić P. T. Publiczności! Dyrekcja amerykańskiego Cirku pod nazwą „Zjednoczona Europa“.

Osoby: Alcido De Gasperi
Konrad Adenauer
Publiczność
Orkiestra

ORKIESTRA (gra tuż).
ALCIDO I KONRAD (wbiegają na środek areny, trzymając się za ręce)
PUBLICZNOŚĆ (gwiżdże, w łóżach oklaski)

KONRAD: Więc znów chcesz dziś chodzić po linie, Alcido?

ALCIDO: Takiej roli podjęliśmy się w tym cyrku i za to nam płacą, Konradzie.

KONRAD (szepcąc): Czy nie uważasz, że to rola niebezpieczna i że możemy kiedyś kark skrócić?

ALCIDO: Możemy.

KONRAD: To może by fikać koziolki na ziemi, a nie tam pod samym pułapem, ponad całym narodem.

ALCIDO: Zapominasz, najmiłszy, że kano nam fikać koziolki właśnie tam w górę, wiesz... bliżej nieba...

KONRAD: Cicho!

ALCIDO: To już nie jest żadna tajemnica. Przecież wiesz, kto nam obiecał, że nawet jeśli spadniemy bardzo nisko, to tym pewniej pójdziemy do nieba.

KONRAD: A więc przyzwyczajajmy się! ALCIDO: To niebo obiecano nam w bardzo autorytatywnym miejscu.

KONRAD: No więc cóż, zaczynamy. Hej, służba, dawajcie tyny!

ALCIDO: Chwileczkę. Z łóż na nas patrz.

KONRAD: Serce mi bije. Ambasadorzy zza oceanu, generałowie, dygnitarze!

ALCIDO: Niektórzy z tych dygnitarzy na codzień chodzą w sutannach, ale tu do cyrku przyszli dyskretnie w marynarkach.

KONRAD: A więc, Alcido, głęboki ukłon w stronę łóż!

ALCIDO: Głębiej, jeszcze głębiej! No Konradzie kto głębiej się ukloni!

PUBLICZNOŚĆ (gwiżdże)
KONRAD: Dość już. Liny w górę!... Cóż ty, Alcido, taki dziś błąd. Gdzie twoja paleczka dla podtrzymywania równowagi. Gdzie twoja większość parlamentarna?

ALCIDO: O nie, mój ukochany! Dziś występuję w trudniejszej niż ty sytuacji. Dziś bez paleczki. Dziś mam utrzymać równowagę bez większości parlamentarnej.

KONRAD: Ależ to szaleństwo! Przecież ty spadniesz i skreślisz kark. To polityczne samobójstwo — to, co robisz.

ALCIDO: Ach, jak miło raz jeszcze w takiej wysokości patrzeć na ten tłum...

PUBLICZNOŚĆ (gwiżdże)

ALCIDO:... słyszeć to uznanie mas...

KONRAD: To straszne... Ja sam ledwie się trzymam, choć dzierzę moją paleczkę silnie oburącz. O, moja większość parlamentarna nigdy nie zawodzi.

ALCIDO: Ach, w tej chwili ciężkiej i niebezpiecznej nie mów „nigdy”, Konradzie. I u ciebie przyjdą wybory...

KONRAD: We wrześniu... Ale moja większość jest żelazna...



ALCIDO: I ja tak mówiłem, niedoświadczony... A dziś...

KONRAD: Ale przecież Amerykanie nie pozwalają... Przecież pakt atlantycki, przecież armia europejska... przecież...

ALCIDO: Jeszcze krok, jeszcze chwila, jeszcze ułamek sekundy... Ooooh... (spada; czekająca na dół służba chwytą go w nastawione przesćieradło i wynosi z areny).

PUBLICZNOŚĆ (gwiżdże).

KONRAD: Cóż mi pozostało. Uśmiechnąć się i iść po linie dalej. Z paleczką chodzić trudno, a co będzie bez paleczki? Czy biedny Alcido wróci kiedykolwiek na arenę... Któż dba o los starego blazna... Uśmiech...

ORKIESTRA (gra Leoncavalla „Śmieć się pajacu“).

KURTyna

„SPRAWA RODZINNA” W PRADZE



Niedawno odbyła się w Pradze premiera sztuki Jerzego Lutowskiego „Sprawa rodzinna” w reż. Ota Ornest’a. Na zdjęciu w roli Józefa Kamińskiego — Gustav Hilmar, Henryki Kamińskiej — Heda Markova, Ireny — Zdenka Prochazkova.

LENGREN



— A gdzie ryby?...
— W kocie.

M. SAMOZWANIEC

FRASZKI MORSKIE

I

Morze jak z holenderskiego mistrza żywa kopia:
Biała piana i błękit wraz z zielenią ciemną.
Rzeki: „Czy pójdaie pani wykapać się ze mną?”
Odpiera: „Ja się boję — morze to UTOPIA...”

II

Przy sterze niewzruszony stał
Choć deszcz lat i wiatr nim młotł.
I wówczas mi przyszła ochota
Go nazwać: „Chłopcem na szkwali!”

III

„Mężowi prezencik chcę przynieść niewielki”
Rzekła jedna do drugiej, leżąc z nią na piasku.
Odpiera tamta: „To kup muszelki...”
„Szelki? — przecież spodnie on nosi na pasku...”

IV

Damskie torby z dorsza, dorsz ujrzałszy w sklepie
Z radości skrzelałami po brzuchu się klepił:
Rzekł: „Kobietki, co dorszem w stołórkach gardziły
Będą nas obecnie „na rękach nosiły...”

NOWE KSIĄZKI

Na półkach księgarskich ukazały się ostatnio następujące przekłady i wznowienia prozy radzieckiej: D. GRABIN — Jarosław Dąbrowski („Iskry” — str. 198, zł 12.) — powieść o bohaterze Komuny Paryskiej, Jarosławie Dąbrowskim (1836—1871), polskim przywódcy proletariackiego powstania, którego na barykady Komuny, wraz z wieloma towarzyszami polskimi, zaprowadziło głębokie poczucie międzynarodowej solidarności sił postępu oraz świadomość łączności sprawy mas ludowych całego świata ze sprawą wolności Polski. Autor opisuje w sposób barwny i dynamiczny walki Komuny kończąc akcję momentem śmierci Dąbrowskiego na barykadzie. Książka przekazuje czytelnikowi najbardziej istotne cechy działalności Dąbrowskiego, naczelnego dowódcy wojsk francuskiego ludu. Obszerne postowie Romana Werfla obrazuje polityczne i społeczne warunki, w jakich żył i działał Dąbrowski na terenie Polski, oraz rolę i znaczenie jego walki dla sprawy międzynarodowego proletariatu.

I. SWISTUNOW — Pleśń o żołnierzu — (MON, str. 142, zł 5,40) — zbiór opowiadań radzieckiego autora, których tematem jest zwycięski powrót żołnierzy Armii Czerwonej do ojczyzny po rozgromieniu hitlerowskiego wroga. Powracający żołnierze, których droga wiedzie przez Polskę, urozmiaćcają sobie podróż wspomnieniami epizodów wojennych. Kilka opowiadań jest poświęconych bojom na polskim terenie, gdzie — jak jeden z opowiadających wspomina — „ziemia na każdym kroku nasiąkała krwią radziecką”. „Pleśń o żołnierzu” — to pleśń o bohaterstwie, o miłości ojczyzny i przywiązaniu do partii, o wielkim umiłowaniu pokoju, które ożywia radzieckich żołnierzy. Opowiadania tchną ponadto zdrowym, żołnierskim humorem i bezpośrednią narracją. Zaciekawia one niewątpliwie masowego czytelnika.

KONSTANTY PAUSTOWSKI — Kolchida — („Iskry”, str. 177, zł 4.) — powieść wybitnego pisarza, znanego czytelnikom polskim także z innych utworów, przedstawiająca w ciekawej formie literackiej obraz walki o przeobrażenie dzikich lasów nadmorskiej części Gruzji w żyzny i bogaty kraj. Książka ukazuje, jak równocześnie z wielką przemianą przyrody zmienia się i kształtuje człowiek. Oprócz postaci Mingrelczyków, którzy z ciemnych i przesądnych mieszkańców na wpół dzikiej krainy stają się świadomymi obywatelami nowej Gruzji, czytelnik pozna je w książce postacie radzieckich botaników i inżynierów — ludzi pełnych zapału i natchnienia, klerujących walką o stworzenie z Kolchidy nowego, szczęśliwego kraju.

Droży Czytelnicy!

Zawarcie rozejmu w Korei społeczeństwo polskie przyjęło z głębokim uczuciem radości, którego wyrazem były wypowiedzi ludzi pracy na terenie całego kraju. W liście nadesłanym do naszej redakcji Ob. Hauna Stępień z Warszawy tak pisze na ten temat:

„Jestem matką trojga dzieci. Najstarszy mój syn poległ na wojnie, i dlatego wiadomość o zawieszeniu broni przyjęłam do serca z całą radością matki, która rozumiała łyż kobiet koreańskich, i cieszy się dziś, że może nie popłyną one już więcej, bo w ich kraju zapanał pokój. Kiedy patrzyłam na zdjęcie sierot koreańskich, przebywających w Polsce, serce mi się krajało i mówiłam swoim dzieciom: patrzcie, ich rodziców zamordowali na tej straszliwej wojnie. Pamiętajcie, że wojna to wróg matek i dzieci, ojców i braci. Pamiętajcie, że my w Polsce walczymy o pokój, który daje szczęście wszystkim ludziom.

„Ja i moja rodzina będziemy zawsze tam, gdzie toczy się walka o pokój. Bo przecież naprawdę można bez rozlewu krwi po ludzku załatwić wszystkie te sprawy, o które idzie spór. Bo przecież zawieszenie broni w Korei dowiodło, że ta siła pokojowa może zapobiec straszliwym okropnościom, jakie sprowadza na ludzkość wojna. Nie byłam przecież w Korei, a słyszałam te samoloty kołujące nad miastami i wsiami. Słyszałam ich niesczęsny lot, bo takie przecież samoloty burzyły nasze domy, kosiły życia naszych najbliższych.

„Raduję się ze wszystkimi ludźmi z tego kresu nieśczęścia w dalekim kraju koreańskim, gdzie znowu ludzie będą mogli pracować dla swojego szczęścia i przyszłości swoich dzieci, gdzie serca matki nie przeżyje ból utraty syna czy córki. Pozdrawiam Was w radości Matki Koreańskiej, ja, matka dzieci, które zaznały już dobrodziejstwa życia w pokoju!”

WYJASNIENIE MIN. POCZT I TELEGRAFÓW

„W związku z notatką pt. „Droży Czytelnicy”, zamieszczoną w 26 n-rze Waszego pisma z dnia 28 czerwca br., Ministerstwo Poczty i Telegrafów na podstawie przeprowadzonych dochodzeń komunikuje, co następuje:

1) Niedostarczenie nr. nr.: 18, 19, 20, 21 i 22 tyg. „Świat” Ob. Marszał Feliksowi powstało z winy urzędu pocztowego w Milejowie, który nie dokonał zamówienia tygodnika na m-c maj. Winny pracownik został ukarany. Brakujące egzemplarze wym. n-rów zostały dostarczone reklamantowi bezpośrednio przez PPK „Ruch”. Fakt, iż Ob. Marszał nie otrzymał n-rów: 4 i 13 nie był następstwem błędu pocztowego, bowiem z życzeniem reklamanta listonosz dostarczył je miejscowej gospodzie; istnieje zatem możliwość, że trafiły one do niewłaściwych rąk. Od czerwca br. reklamant otrzymuje Wasze pismo regularnie.

2) Ob. Ob. Barej Krystyna i Rębalski Konstanty nie otrzymywali w maju br. tygodn. „Świat” na skutek błędu popełnionego przez pracownika urzędu pocztowego Boików przy sporządzaniu zamówienia gazutowego. Z chwilą sprostowania omyłki zamówiono 2 egz. „Świata” na czerwiec, o czym powiadomiono reklamantów. Urząd pocztowy w Bolkowiu otrzymał polecenie uzyskania z PPK „Ruch” w W-wie brakujących numerów „Świata” z m-ca maja celem umożliwienia żalącym się prenumeratom skompletowania tego pisma.

3) O wyniku trwających jeszcze dochodzeń w sprawie zażalenia Ob. Moroza Józefa Ministerstwo Poczty i Telegrafów powiadomi Redakcję oddzielnym pismem.

w/z Naczelnika Wydziału
Wł. Jura

„ŚWIAT”



NIE KULT, LECZ OLIWA

Od wielu lat archeologowie znajdowali na terenie pustyni Libijskiej wielkie naczynia kamienne w kształcie rozyskiej litery „n”. Przypuszczano, że naczynia te związane były w jakiś sposób z kultami religijnymi starożytnych mieszkańców Libii. Zadnemu z uczonych nie udało się jednak dostarczyć przekonujących dowodów, potwierdzających to przypuszczenie. Nikt nie mógł wytłumaczyć, jaką rolę odgrywały te naczynia w obrządkach religijnych.

Zagadka wyjaśniła się w trakcie badań prowadzonych w ostatnich latach. Otóż, Libia, przed zdobyciem przez Rzymian, była urodzajnym krajem dzięki istniejącym wówczas systemom irygacyjnym. Ogromne polacie kraju zajmowały gaje oliwne — główne źródło dochodów sta-

rożytnych Libijczyków. A tajemnicze kamienne naczynia — to resztki urządzeń, przy których pomocy Libijczyki wyciskali tłuszcz z oliwek.

„LATAJĄCY PIES”

Ze znanych na ziemi nietoperzy największymi rozmiarami wyróżnia się żyjący na wyspie Jawie nietoperz kalong, zwany przez Indonezyjczyków „latający pies”. Nazwa ta jest uzasadniona nie tylko rozmiarami kalonga, ale i dużym podobieństwem jego pyska do psa.

Kalong ma około 45 cm długości, a szerokość jego rozpostartych skrzydeł wynosi 1,5 metra. W przeciwieństwie do małych nietoperzy kalongi latają powoli, męga w ciągu nocy przebyć 50 kilometrów. „Latające psy” są dla ludzi zupełnie niegroźne: żywią się wyłącznie sokiem owoców. W niektórych okolicach Jawy kalongi przynoszą duże szkody plantacjom owocowym.



TYGODNIK ILUSTROWANY
Redaguje Komitet
Wydawca: R.S.W. „PRASA”

Redakcja: Warszawa, Nowy świat 58. Telefony: Red. Naczelny: 6-11-64. Centrala 6-41-02, 6-41-23. Administracja: Warszawa, Wiejska 12, tel. 8-00-81. Prenumerata miesięczna zł 4,80, kwartalna zł 14,40, półroczna zł 28,80, roczna zł 57,60.

Zakłady Włókiendrukowe i Introligatorskie RSW „Prasa” Warszawa, Okopowa 58/72.

Zam. Nr 492. Papier rotogr. V/80—82 cm. — 4-B-18080

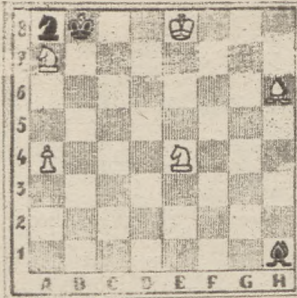
SZACHY

KONKURS 12 ZADAŃ

Zamieszczamy dwa kolejne zadania naszego konkursu (regulamin zamieszczony był w numerze 30).

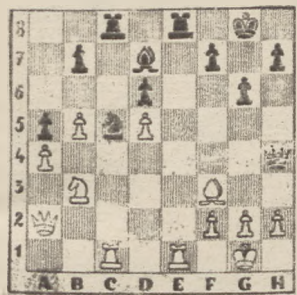
ZADANIE 5

Z. Błomow



Białe zaczynają i wygrywają (5 punktów).

ZADANIE 6



W podanej pozycji czarne wykonały posunięcie, po którym białe uważają za słuszne poddać partię. Jakże to posunięcie? (3 punkty).

PARTIA NR 74

grana w półfinale tegorocznych mistrzostw Polski w Poznaniu.

Obrona Grünfelda

Białe: Ziembliński

Czarne: Gdański

1. d2-d4 Sg8-f6 2. c2-c4 g7-g6 3. Sb1-c3 d7-d5 4. c4:d5 Sf6:d5 5. e3-e4 Sd5:c3 6. b2:c3 Gf8-g7 7. Gf1-c4 0-0 8. Sg1-e2 c7-c5 9. 0-0 Sb6-c6 10. Gc1-e3 c5:d4 11. c3:d4 Sc6-a5.

Powstała jedna z charakterystycznych pozycji wymienionego wariantu obrony Grünfelda. Białe uformowały centrum, które czarne starają się podważyć.

12. Gc4-d3.

Jest to silniejsza kontynuacja, niż 12. Wc1 S:c4 13. W:c4 b6 14. Ha4 Hd7! 15. Wb1 H:a4 16. W:a4 Gd7 17. Wc6 Wfc8 z dobrą grą czarnych, jak w partii Szabo-Simagin, mecz Budapeszt - Moskwa 1949.

12... b7-b6 13. Wa1-c1 e7-e5 14. d4-d5. Interesujące też jest i 14. d:e5 G:e5 15. f4 Gg7 16. e5 itd. 14... Sa5-b7.

Czarne zamierzają postawić skoczkę na d6, aby zbliżać piona d5.

15. Hd1-d2 f7-f5 16. f2-f3 f5-f4.

Czarne zbyt pośpiesznie likwidują napięcie w centrum, zamykając przy tym sobie gońca. Należało kończyć rozwój, grając 16... Sd6.

17. Ge3-f2 Sb7-d6 18. Se2-c3 Gc8-d7 19. Hd2-b2 g6-g5 20. Sc3-b5 Gd7:b5 21. Gd3:b5 Wa8-c8.

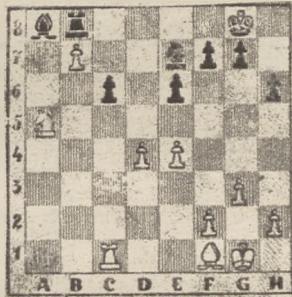
Czarne nie chcą bić drugi raz na b5, gdyż zostałyby w końcówce ze „złym” gońcem (koloru pól, na których stoją czarne piony). Jednakże i po posunięciu w tekście wpadają w pewne trudności.

MECZ SZACHOWY

„Świat” - Czytelnicy

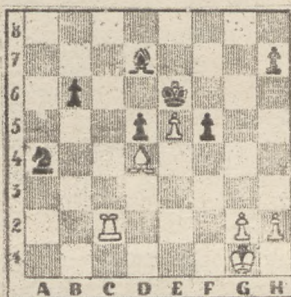
W odpowiedziach swoich Czytelnicy byli tym razem jednomyślni w obu wariantach, co jest zresztą zrozumiałe ze względu na powstałe pozycje. W partii W1 zagrall Czytelnicy Wb8, zaś w W200 - W:c2. Po uwzględnieniu kolejnego posunięcia Redakcji partie nasze wyglądają następująco:

PARTIA W1



35. b4-b5 Sg8-e7
36. b5-b6 Wc8-b8
37. b6-b7

PARTIA W200



35. Ge3-d4 Sc5-a4
36. Wf1-c1 Wc6:c2
37. Wc1:c2.

Przypominamy, że odpowiedzi na 37 posunięcie Redakcji należy wysłać najpóźniej we wtorek, 11 sierpnia br.

OSTATNIA DYNASTIA

Dokończenie ze str. 17

ków — należytego zestawiania instrumentów, aby dobrze wyzyskać ich możliwości brzmieniowe i osiągnąć efekty dotychczas nieznane. Na Straussie wzorował się młody Karłowicz i młody Szymanowski.

Ryszard Strauss, rozwijał zapoczątkowaną przez Wagnera formę dramatu muzycznego, stworzył także kilka oper o niesłychanej dotąd sile wyrazu dramatycznego. Wystarczy wspomnieć choćby dwie: „Salome” i „Elektrę”. Kiedy był już w pełni sławy — nie tylko jako kompozytor, lecz i jako jeden z pierwszych w świecie dyrygentów — i ten wielki Strauss zateśnił za Wiedniem. Osiadł na pograniczu Austrii i, przebywając już to w swych Garmisch, już to w Wiedniu, napisał uroczą, pełną igrasce wiedeńskiego czaru lekką operę „Kawaler srebrnej róży”. W operze znalazły się nowe straussowskie walce, ładnie reprezentujące walcową tradycję związaną z owym nazwiskiem.

Wróćmy jeszcze na chwilę do operetki, do ostatniego ze Straussów w typie lekkim. Miał na imię Oskar, urodził się w Wiedniu w 1870 r. i był zarazem pierwszym Straussem, który prócz walców czy polek zaczął dawać w swoich operetkach nie mniej melodyjne tanga i fokstrotty. Do owych nowszych operetek należą: „Kobietka, która wie czego chce” oraz „Marletta”. Aliści walcze jakbyś silnie zespolone były ze Straussami, że i u tego Oskara najtrwalszym i najbardziej udanym dziełem okazała się wcześniejsza operetka „Czar walca”.

Oskar Strauss w roku 1927 wyemigrował do Ameryki i tu zgubił jego ślad, choć szperałem po różnych encyklopediach. Aż nagle, pewnego dnia wpadła mi do rąk książeczka, choć w zókiej oprawie, to przecież czarująca w swej haniebnej treści. Nosila tytuł „Le-ksykon Żydów w muzyce” i zawierała spis wszystkich kompozytorów żydowskiego pochodzenia, od zaprzyjaźnionego z Chopinem Mendelssohna począwszy. Wydawcom — władzom hitlerowskim szło o to, by „rasowi nordyccy” mogli bez trudu unikać „nierasowej” muzyki. W książeczce znalazłem Oskara Straussa, napiętnowanego z tym żywszą pasją, że był poza zasięgiem gestapo i obozów. Dowiedziałem się jednak przy okazji, że w roku 1943 Oskar żył jeszcze i że miał syna Erwina Straussa (ur. 1916, w Wiedniu), także kompozytora. Co ów najmłodszy ze Straussów komponował? Czy był dobrym kompozytorem? Trzeba mieć silne barki, żeby unieść ciężar takiego nazwiska i takich tradycji...

Oto są dzieje trzynastu Straussów, odnotowanych przez historię muzyki. Ale z pewnością nie tylko ci zajmowali się dźwięczną sztuką. Przecież mieli muzycznych ojców i matki, wujów, ciotki i kuzynów dumnych ze swego rodu i zobowiązanych do uprawiania muzyki, chociaż na miarę skromniejszych możliwości.

Więc i dla nich, poprzez ich wiarę w piękno, otwarte zostało muzyczne niebo. I zapewne są takie dni niebieskie, gdy w stronę Straussów udaje się Apollo brzdąkający na lirze, a w ślad za nim Muzy, co śpiewają na cześć sztuki hymn w formie kanonu ciągłego, gdyż jedynie tą modłą śpiewać można przez wieczność, nie przerywając. Wówczas Jan Strauss - ojciec odstawia kufel „Pilsnera” na chmurę, ociera wąsy skrzydłem i szepce:

— Patrzcie, patrzcie! Apollo...

Pomniejsze Straussy, zacięte i zadowolone ogromnie trzepocą się, aż powietrze drga, jak nad ziemią w czas upału.

— Apollo, to jest imię. A jak on się nazywa?

Bóg słyszy i odpowiada:

— Niestety nie Strauss!

JERZY WALDORFF

TANIO i ŁADNIE

Na urlopie nad morzem spodnie są bardzo potrzebnym elementem stroju kobiety — ale należy pamiętać, że dobrze w spodniach wyglądają tylko kobiety szczupłe i smukłe.

Powyżej czterdziestego roku życia i powyżej wagi siedemdziesiąt kg — noszenie spodni jest co najmniej ryzykowne. Przy okazji przypominamy: do długich spodni nosi się pantofle na niskim obcasie!

Poniżej bluzka jedwabna. Rękawy i przód wykończone ażurowym haftem.



ROZRYWKI UMYŚŁOWE

ROZWIĄZANIE ZADANIA Z NR 100

LOGOGRYF: Żądamy zaka-
zu broni bakteriologicznej.
(Cizba, posag, ideal, sława,
klomb, wyrok, kozak, medal,
słodka, prawo, niska, Gulia,
Kabel, metro, Wolga, kanat,
kotla, Kuban, tajga, derka,
Tatar, Keres, Węgry, świat,
Gogol, Opole, kiosk, egida,
Turwim, pycha, szyfr, Desna,
scena, zjawia).

Za dobre rozwiązanie za-
dania z numeru 100 nagro-
dy książkowe otrzymują:
1) J. Chrościcka — Gołębki
k/W-wy, ul. Leśna 10, 2)
M. Cendrowski — Warszawa,

Śłużew, Stegny 112, 3) S. Do-
mański — Warszawa, ul. Dół-
na 12/5, 4) H. Frej — Toruń,
ul. Konopnickiej 27 m. 7, 5)
J. Kalasa — Poznań, ul. Umia-
śliciego 24 m. 19, 6) Z. Kaspur-
tis — Łódź, ul. Gdańska 106,
7) E. Kieszczuk — Kraków N.
Olsza, ul. Łazowskiego 26, 8) A.
Kołodziejczyk — Częstochowa,
ul. Wielka 23, 9) K. Ko-
stowicz — Warszawa, ul. Śnia-
deckich 10, 10) K. Lubom-
ska — Toruń, ul. Żwirki i Wi-
gury 80, 11) W. Łada — War-
szawa, ul. Belgijska 3/27, 12)
L. Markowicz — Łódź, ul. No-

wotki 22, 13) A. Matusiak —
Warszawa, Trembowelska 1,
14) A. Molki — Jeleni k/W-
wy, ul. Legionowa 24, 15)
Zasadińska Szkoła Zawodowa
CUBZ — Ostróda, ul. Nowot-
ki 2, 16) J. Radecki — Szczeci-
nek, ul. Żurawki 6, 17) T.
Skwarczyński — Wrocław, ul.
Łaskińskiego 15, 18) G. Bro-
ga — Glińskie, Pl. Stalina 22,
Pow. Spół. Spożywców, 19)
J. Szuster — Sopot, ul. So-
bieskiego 3/3, 20) M. Wrono-
wa — Łódź, ul. 22 Lipca 19
m. 7.

ROZWIĄZANIE ZADANIA Z NR 101

DOPELNIANKA: Front Na-
rodowy, (kal-tany, tor-tura,
sto-noga, man-tyka, tat-arak,
kon-takt, sına-kosza, nar-koza,
sto-pień, hod-owca, smo-czek,
kryw-otok, czy-raki).

Za dobre rozwiązanie zadania
z numeru 101 nagrody książ-
kowe otrzymują: 1) Z. Bie-
droń — Kraków, ul. Sienna 17,
2) T. Fućka — Staliność,
ul. Łagonia 28, 3) W. Giedryk
— Białystok, ul. Stalina 33,
4) J. Hochman — Łódź, ul.

Marynarska 24a, 5) J. Koliń-
ska — Warszawa, ul. Koper-
nika 11, 6) G. Krysiańkówna
— Poznań, ul. Gwardii Lud-
owej 14, 7) Z. Lachowski —
Warszawa, ul. Zachariasza 1,
8) M. Laskowski — Warszawa,
ul. Grotgiera 17, 9) M. Mar-
ski — Szczecin, ul. Lindego 23,
10) J. Młodziejowski — Łódź,
ul. Świerczewskiego 26, 11)
M. Ossolińska — Wrocław, ul.
Nowowiejska 82, 12) K. Pa-
wlicki — Warszawa, ul. Skrze-

tuskiego 11, 13) J. Półtorak —
Kraków, ul. Dietla 27, 14) W.
Bazkiewicz — Warszawa, ul.
Żurawia 26, 15) A. Rudziń-
ski — Włocławek, ul. Szpi-
talna 11, 16) M. Rydel — Łódź,
ul. Sanocka 22, 17) A. Schulte
Nolle — Kalisz, ul. Granicz-
na 17, 18) L. Święcka — Siedl-
ce, ul. Pierwszego Maja 33,
19) A. Tochowicz — Warsza-
wa, ul. Jotejki 13, 20) Z. Za-
łęga — Kraków, ul. Wronia
nr. 273.

DBAJ O RĘCE...

Sprawne, dobrze utrzymane ręce są równie bez-
cenne dla pianistki, jak dla laborantki czy pro-
cownicy zakładów tkackich. A więc pielęgnujmy
ręce i pamiętajmy, że przy użyciu w ciągu
dnia gliceryny zgęszczonej „URODA”,
o na noc kremu do rąk „LECHIA”, lub
„HALINA” nawet najbardziej zniszczone
odzyskają swój estetyczny wygląd.





Zdarzyło się tak, że nasz rysownik na Festiwalu w Bukareszcie narysował przedstawicieli zespołów artystycznych różnych narodów, zanotował skrzętnie kraje, jakie te zespoły reprezentują, ale... po przyjeździe do kraju spędza ze zmartwienia bezsennie całe noce. Zgubił notatki i teraz nie potrafi powiedzieć, który rysunek przedstawia reprezentantów każdego z 12 krajów. Sytuacja jest więc niewesoła, ale wierzymy, drodzy Czytelnicy, że pomożecie mu w tym kłopotcie. A w jaki sposób? Wystarczy w tym celu wyciąć, względnie przerysować zamieszczony obok kupon, wypełnić go czytelnie i nadesłać do redakcji z dopiskiem na kopercie „Konkurs festiwalowy“, nie później

KUPON KONKURSOWY

ALBANIA	Nr.....	MEKSYK	Nr.....
ANGLIA	Nr.....	POLSKA	Nr.....
CHINY	Nr.....	RUMUNIA	Nr.....
IRAN	Nr.....	UKRAIŃSKA SRR	Nr.....
KOREA	Nr.....	UZBECKA SRR	Nr.....
MADAGASKAR	Nr.....	WĘGRY	Nr.....

Imię i nazwisko Zawód
Adres: